UMCS
LUBLIN
czas. 2552/1979/12

Podgórski – Harasimiuk: koniec polemik str. 14

POEZJA POLSKA ZA OLZĄ str. 6

Na ulicy twórcy „Kameny” Kozimierza Andrzeja Jaworskiego
Karol Mucha str. 11

kamena

LUBLIN 10 VI 1979 NR 12 (680) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

ZAMOŚĆ 1979

OPERACJA RYNEK

Andrzej Kędziora

UPRZEDZAJĄC grad jubileuszowych laurek, spróbujmy spojrzeć na Zamość w 399 roku istnienia. Rynek Wielki. Ktoś, kto po raz pierwszy odwiedza Zamość, bądź wraca po wielu latach, miast spodziewanej uczty, jaką gotować ma harmonijna morandowska architektura, zaskoczony zostaje widokiem zgoła niecodziennym. Prócz ratusza i wschodniej pierzei, kamieniczki straszą ciemnymi otworami okien i „rozbebeszonymi” strychami służąc przeważnie za tło wolno przesuwającemu się, potężnemu dźwigowi. Czwartą część połaci rynkowej odgradzają kolorowe płoty, natomiast wschodnia połowa, podzielona na duże, tylko zabetonowane kwadraty tworzy rozległą i pustawą cokolwiek płaszczyznę. Oto obraz pt. renowacja lub rewaloryzacja — obie nazwy tyleż dźwięczne co niepolskie. Aby je znielubieć, nie trzeba być wykpiwanym przez Wańkowicza purystą językowym, wystarczy mieszkać w Zamościu.

Pierwsze próby ratowania bezcennych zabytków sięgają lat trzydziestych, kiedy ograniczono się — i to sumptem głównie właścicieli kamienic (koszt dwuletnich prac wyniósł raptem 171 594 zł) — do ich odmalowania, czasem utrącenia szpetnego balkonu, bądź wyburzenia obskurnej komórki w podcieniu. Okrutny los sprawił, że odnowione tuż przed wojną kamieniczki służyły za tło ponurym paradom, jakie obejrzeć można w dokumentalnym filmie „Dziennik Hansa Franka” (m. in. sekwencje z przejmująco pustym i pocztówkowo schludnym Rynkiem). Kolejny „makijaż” reprezentacyjnych kamienic przeprowadzono w połowie lat pięćdziesiątych. Myśl o kompleksowej autentycznej renowacji zrodziła się kilkanaście lat temu, kiedy to o efektownej rocznicy zapewne nikt nie myślał, tym bardziej nie myślał nikt, że potrzeba będzie ponad 20 lat na przywrócenie miastu pełnej krasy.

Chałupnictwo, niefachowość, styl pracy, od czasu do czasu odsłaniane przez prasę skandale i skandaliki utrwalały pewne stereotypy funkcjonujące, niestety, do dzisiaj. Zresztą nieufność tzw. vox populi znajduje jeszcze uzasadnienie. Mimo całego już zastępu doświadczonych architektów, historyków sztuki, konserwatorów, snycerzy, kamieniarzy, mimo sprzętu o jakim pięć lat temu nie śniło się nikomu w Zamościu, brak ciągle czegoś chyba nie mniej ważnego: owych im-

Dokończenie na str. 3—9

Fot. Jan Trembecki

Na rolniczym poligonie

Bronisław Kowalski

PRZEKTOR zachwyconym głosem: — Ta krowa jest kapitalna. Naprawdę wspaniała. Piękna jałowica, fantastyczna pierwiastka! Proszę spojrzeć, jakie ma duże wymię i strzyki.

Krowa stoi zadem do przejścia i nawet nie spogląda za siebie. W drugim krańcu obory leży jeszcze jedna i powoli rodzi żółto-płynne łożysko. Obie wycieliły się niedawno. Część położnicza obory błyszczy kafelkami, ale naprawdę ważny w tym budynku jest strych oraz belka.

Pomysł z belką był po to, aby stanowisko oddzielić od przejścia położonym słupem drewnianym i wówczas krowi zad wystaje nieco, przez co ściółka pozostaje dużo czyściejsza niż w tradycyjnym układzie bez słupa.

Krowi tył jest szeroki. Z tą samą szerokością stoją jej tylne nogi, które dzięki rozstawieniu mieszczą między sobą wielkie wymiona. Potężne, olbrzymie, monstrualne wymiona. Oto prawdziwie amerykańska krowa!

Niedawno urodzone cielęta znajdują się w innym budynku. Białe, mniejsze przyszło na świat wczoraj. „W obiad” — powiedziała kobieta opiekująca się nimi. To star-

Dokończenie na str. 4—5

Poza zdrowym rozsądkiem

SŁONECZKO przygrzewa, ptaszki ćwierkają, natura budzi się do życia, ośrodki wczasowe jeszcze puste, więc kursokonferencje Polaków czas zacząć. Jedną z nich, pt. „Służba pracownicza — jej model organizacyjny i zadania”, urządza Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa we Wrocławiu oraz Zakład Socjologii Pracy i Polityki Społecznej Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu.

Dla uzasadnienia potrzeby tej kursokonferencji organizatorzy powołują się na: Uchwałę VI Zjazdu PZPR, Uchwałę Biura Politycznego KC PZPR z października 1972 roku, postanowienia IX Plenum KC PZPR z czerwca 1973 roku, Uchwałę VII Zjazdu PZPR, postanowienia II Plenum KC PZPR ze stycznia 1976 roku.

Motywowanie takiej imprezy najpoważniejszymi postanowieniami władz politycznych budzi podejrzenie, iż organizatorzy sami nie czują się przekonani do swego przedsięwzięcia.

„Celem konferencji — piszą — jest postawienie zadań przed służbą pracowniczą w aktualnych warunkach, przedyskutowanie jej aktualnego modelu i metod oraz technik realizacji zadań służby pracowniczej ze szczególnym uwzględnieniem zadań w zakresie kształcenia i dokształcania pracowników oraz działalności integracyjnej oraz socjalnej”.

Jeśli obrady konferencji toczyć się będą w tak biurokratycznej i mętnej atmosferze jak język powyższego anonsu, trzeba żelaznego zdrowia, aby to wszystko wytrzymać. Może dlatego przewidziano imprezę na pierwszą połowę czerwca „w miejscowości wypoczynkowej na Dolnym Śląsku”. Biedni dyrektorzy, kierownicy, specjaliści i pracownicy naukowi z całej Polski będą mogli pożytecznie odpocząć przed letnim urlopem — za jedne 2630 złotych, pokrywanych przez zakłady pracy, plus koszta podróży.

Tak, tak — 2630 plus koszta podróży, których organizatorzy nie zwracają, o czym „uprzejmie przypominają”.

Na kwotę 2630 złotych składają się: nocleg i wyżywienie (dwa dni — 400 zł) koszt uczestnictwa (897 zł — o co chodzi?), koszt materiałów (1333 zł — dwa tomy: pewno po pięć kilogramów każdy).

W programie konferencji brak referatu o tym, jak oszczędzać państwowe grosze, organizując mądre i tanie kursokonferencje.

Organizatorzy znajdują podstawy prawne urządzenia tej imprezy w zarządzeniu Ministra Finansów i Uchwale Rady Ministrów. Cóż, każdy dokument można korzystnie dla siebie zinterpretować. Szkoda, że organizatorzy nie poszukali uzasadnienia przede wszystkim w zdrowym rozsądku.

P G D

Papież Jan Paweł II w Polsce

2 czerwca przybył do Polski z wizytą — pielgrzymką Papież Jan Paweł II. Wizyta pierwszego Polaka, piastującego najwyższą godność w Kościele, oczekiwana była z serdecznością zarówno przez władze, jak i społeczeństwo.

W pierwszym dniu wizyty Papież spotkał się z I Sekretarzem KC PZPR Edwardem Gierkiem w Belwederze, na zdjęciu widzimy ich w czasie rozmowy. Obok siedzą: Przewodniczący Rady Państwa, Henryk Jabłoński oraz Prymas Polski, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, kardynał Stefan Wyszyński.

Fot. CAF — Matuszewski

NAŁĘCZOWSKIE DIVERTIMENTO

Stefan Münch

W DNIACH 19—23 maja tradycyjnie w sali balowej Pałacu Małachowskich odbywały się koncerty kolejnego — ósmego już — Festiwalu Małych Form Wokalno-Instrumentalnych. Divertimento, jak co roku, stanowiło centralny punkt programu Dni Nałęczowa — miasta, które pochwalić się może interesującymi tradycjami literackimi i muzycznymi.

W ostatnim czasie program nałęczowskiego festiwalu zrezygnował z ambicji monografizujących na rzecz zróżnicowania i niejakiej uniwersalności w zakresie proponowanych gatunków kameralistyki i chronologii wykonywanych dzieł. Choć niewątpliwie prezentowany przed dwoma laty cykl barokowych oper radował serce autora poniższych uwag, to jednak część audytorium, nie przeczuwając najwyraźniej, czego będzie świadkiem, miny miała nieszczególne. Dlatego też ową rozmaitość programową uważam za godną pochwały i domagającą się kontynuacji.

Inaugurujący festiwal koncert Orkiestry Kameralnej PWSM w Krakowie pod dyrekcją Kaji Danczowskiej wypełniły kompozycje Jana Sebastiana Bacha (*Koncert d-moll na dwoje skrzypiec i orkiestrę BMV 1043*), Wolfganga Amadeusza Mozarta (*Divertimento D-dur KV 136*) oraz Henry Purcella (*The Fairy Queen*). Orkiestra istnieje od dwóch lat, ale jest już — moim zdaniem — jednym z najciekawszych zjawisk w naszej kameralistyce. Grę krakowskiego zespołu charakteryzuje precyzja, czystość, lekkość, zachwycająca niekiedy barwa brzmienia. A jednocześnie czuje się w tej grze ciągłe twórcze napięcie, manifestujące się zarówno w dbałości o każdy szczegół wykonania, jak i w dążeniu do misternego zrealizowania generalnej koncepcji dzieła. Wśród skrzypków młodego pokolenia Kaja Danczowska jest bez wątpienia artystką dojrzalszą, bezbłędnie dyskontującą podstawy swego kunsztu. Pierwszoplanową cechą jej stylu jest wspaniałe brzmienie, przywodzące na myśl sztukę Dawida Ojstracha — żywe, plastyczne, o nieskończonej gamie odcieni. Dodajmy do tego naturalną i „analityczną" muzykalność, wyczucie stylu i umiejętność pokonywania problematów technicznej natury, a okaże się, że *Koncert podwójny* Bacha stał się wydarzeniem. Wystarczy wspomnieć cudowny spokój przenikający dialog obojga skrzypiec (drugim solistą był Krzysztof Smietana) w utrzymanym w *F-dur Largo ma non tanto* czy kunsztownie wymodelowane *Allegro*. W szczegółach idealnie wyważone brzmienie orkiestry zgodne było z duchem lipskiego kantora; przyjemna to konstatacja dla słuchaczy, których wielkie zespoły próbują przyzwyczaić do basso ostinato grywanego przez kilkunastu w sumie wiolonczelistów i kontrabasistów. Słuchając tymczasem krakowskich kameralistów można było powtórzyć za Schweitzerem, że muzyka ta nie poddaje się analizie, a „o jej pięknie nigdy nie dość mówić". Nie mniej udanie zaprezentował się zespół Kai Danczowskiej w klasycznie „divertimentowym" Mozarcie. *Divertimento D-dur*, skomponowane prawdopodobnie w Salzburgu, utrzymane jest raczej w stylu włoskim, bez instrumentów dętych. Wdzięk, radość, finezja fakturalna — te trzy cechy owej kompozycji orkiestra zrealizowała bezbłędnie.

Na koncercie zespołu Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses nie byłem, doceniając bowiem wysokie jego kompetencje w zakresie odtwarzania muzyki dawnej, nie potrafię rozbudzić w sobie entuzjazmu do smętnego poświstywania na całej gamie fletów, krzywuł i innych piszczałek, niestrudzenie popularyzowanego w Europie przez Nicolausa Harnoncourta.

Z prawdziwą przyjemnością wysłuchałem natomiast recitalu Bogny Sokorskiej, na który złożyły się pieśni Mozarta, Schuberta, Moniuszki, Rachmaninowa, Rimskiego-Korsakowa, Karłowicza, Szymanowskiego, Wiechowicza i Sokorskiego. Głos p. Sokorskiej nie stracił nic ze swoich walorów, wzbogacając się o ciemniejsze barwy średnicy, zaś emisja i intonacja charakteryzują się precyzją jeszcze bardziej rygorystyczną.

Przekonać o tym mogły chociażby pieśni Schuberta (jakkolwiek w *Heidenröslein* artystka nadużywała nieco operowego typu ekspresji) czy *Ein Veilchen auf der Wiese stand KV 476* Mozarta. Wychodząc wszakże z Pałacu Małachowskich czułem się trochę jak po przyjęciu, którego uczestnicy mieli nadzieję na wspaniałe menu, a tymczasem podano im tylko, niezwykle wykwintne, *hors d'oeuvres*, różne *langusty* i *canapés*. Bogny Sokorskiej słuchaliśmy przed kilkoma miesiącami w Lublinie — program miała wtedy skomponowany podobnie, to znaczy z „przebojów" literatury pieśniowej — szkoda, że nie zdecydowała się tym razem na zaśpiewanie np. cyklu utworów Mozarta czy Schuberta...

Trio Wilkomirskich przedstawiło dwie kompozycje o diametralnie różnym charakterze: Beethovenowskie *Trio B-dur op. 11*, utrzymane w ramach estetyki klasycystycznej, lekkie, finezyjne, przywodzące na myśl Mozarta — i *Trio a-moll op. 50* Piotra Czajkowskiego, posługujące się zdecydowanie jaskrawą, romantyczną ekspresją i wprowadzające elementy stricte wirtuozowskiego popisu. Maestria techniczna członków Tria wzbogacona doskonałym odczuciem stylu szła tu o lepsze z umiejętnością konstruowania szerokich, „malarskich" płaszczyzn brzmieniowych przy jednoczesnym unikaniu nadużyć, do jakich zaproponowany przez Czajkowskiego typ ekspresji najwyraźniej prowokuje.

Finałem VIII Nałęczowskiego Divertimenta był koncert poświęcony paryskiemu okresowi życia Chopina. Złożyły się nań listy kompozytora (czytane przez Igora Śmiałowskiego) oraz „późniejsze" utwory kompozytora, m. in. *Scherzo b-moll op. 31*, mazurki: *a-moll op. 17/4*, *e-moll op. 41/2* i etiuda *As-dur op. 10/10*, grane przez Janusza Olejniczaka. Jest to pianista obdarzony niepospolitym talentem — ale talentem innego, niż Paleczny czy Zimerman, gatunku. Olejniczak proponuje słuchaczom kreacje naturalne, czasem nazbyt spontaniczne, ale nie poddane rygorom intelektu, nie wyspekulowane; niekiedy pojawiają się w jego grze pewne „przyhamowania", ograniczające biegłość techniczną (np. drobne niedokładności rytmiczne i brzmieniowe w *Scherzo b-moll*). Cokolwiek by jednak powiedzieć, intencje interpretacyjne Olejniczaka są wysokiej klasy, a jego „romantyczny" sposób gry zawsze pozostaje bliski słuchaczom.

Nałęczowski festiwal, dzięki interesującym założeniom programowym, wysokim umiejętnościom wykonawców i stworzonemu przez zapał organizatorów klimatowi radosnego święta muzyki przyniósł bez wątpienia wiele satysfakcji zarówno artystom, którzy wystąpili na pałacowej estradzie, jak i licznie zgromadzonej publiczności.

SZPALTA O SPORCIE

WIELKĄ majową imprezę kolarską, jaką był XXXII Wyścig Pokoju, mamy już poza sobą. Wywalczona przez Suchoruczenkę na etapie do Dubnicy przewaga w klasyfikacji indywidualnej dla siebie i drużynowej dla zespołu radzieckiego okazała się nie do odrobienia. Ripost Polaków na następnym etapie ulokowała nasz zespół na drugim miejscu i nawet generalne zwycięstwo kolarzy NRD w jeździe na czas po znanej im dobrze trasie nie przyniosło zasadniczych zmian poza wyjściem Petermana na drugą pozycję w klasyfikacji indywidualnej.

Mimo rozstrzygnięcia Wyścigu na pierwszych etapach był on w tym roku bardziej emocjonujący niż w latach poprzednich. Liczyliśmy do końca punkty Jankiewicza i Nikitienki w klasyfikacji najaktywniejszych. Cieszyły nas zwycięstwa etapowe w finiszach ulicznych Sujki, który dzięki bonifikatom za zwycięstwa etapowe wyprzedził o jedną sekundę Jankiewicza.

Ale najwięcej satysfakcji dała nam drużyna jako całość. Nie tylko drugie miejsce w klasyfikacji końcowej lecz także aż czterech polskich kolarzy w pierwszej dziesiątce klasyfikacji indywidualnej świadczą o wyrównaniu naszego zespołu i to wyrównaniu na wysokim poziomie. Gdyby zastosować przepisy regulaminów, które obowiązywały w innych kolejnych wyścigach, takie, jak klasyfikacja zespołowa nie za trzech, a za czterech kolarzy, lub klasyfikacja zespołowa opracowywana po każdym etapie z sumowania czasów łącznych najlepszych kolarzy, kiedy nawet zwycięstwa kolarzy znajdujących się na dalekich miejscach nie wpływały na wynik drużyn, zespół polski wypadłby jeszcze lepiej. Zresztą i z szos w innych krajach przychodzą na ogół pozytywne wiadomości o naszych kolarzach. Mamy więc szeroką i dobrą kadrę kolarską, liczącą się w całej Europie i świecie.

Największą jednak rewelacją Wyścigu okazał się jego zwycięzca — Suchoruczenkow. Wielki indywidualista, który potrafił uciec na niechętnie przez nas wspominanym etapie, powtórzył jeszcze raz samotną ucieczkę. Dobrze jeździł też na czas, nigdy tylko nie wygrał z peletonu. Ten młody kolarz, który ma już na swym koncie zwycięstwo w Tour de l'Avenir i zawodach krajowych w ZSRR, pokazał wielką klasę i obok Schura, Vesely'ego, Królaka, Szozdy, Szurkowskiego, Pikkuusa przejdzie na trwałe do historii majowej imprezy.

Czekamy teraz na mistrzostwa świata. Nie wracaliśmy z nich dawno bez medali. Może i w tym roku nie będzie źle.

Tymczasem odbyły się mistrzostwa ciężarowców. Wracamy w tej dyscyplinie do czołówki światowej, choć na razie tylko srebrnymi medalami, ale są to już medale zdobyte przez młodych zawodników, którzy w roku przedolimpijskim mogą jeszcze dużo zrobić.

Rusza powoli sezon lekkoatletyczny. Ale do wielkich spotkań jeszcze nie doszło. Niedługo na stadionach Europy będziemy mieli okazję zobaczyć na kogo możemy liczyć w czasie przyszłorocznych igrzysk.

A teraz na początku czerwca emocjonujemy się finiszem ekstraklasy piłkarskiej. Zeszłoroczny kandydat do spadku Ruch śmiało zmierza do tytułu mistrzowskiego, a zeszłoroczny mistrz Wisła broni ligowej egzystencji.

Los sprawił, że ostatnie dwie kolejki spotkań zadecydują, kto poza Ruchem i depczącym mu po piętach Widzewem (oraz zdobywcą Pucharu Polski — Arką) będzie reprezentował polskie piłkarstwo w europejskich rozgrywkach pucharowych. Bezpośrednie spotkanie Stali z Szombierkami i Legią zadecyduje, kto będzie tym czwartym.

Też bezpośrednie spotkanie szczecińskiej Pogoni z Polonią (Bytom) zadecyduje, kto podzieli los Gwardii i opuści ekstraklasę.

Tak więc kibice piłkarscy będą mieli emocje do ostatniej chwili. Na mniejszym lubelskim podwórku też do ostatniej rundy rozgrywek będziemy śledzili losy świdnickiej Avii, czy zdoła ona obronić swój drugoligowy byt. Kibice zaciskają za nią kciuki, wiedząc, że Motor musi być drugi lub trzeci.

tgw.

Wybitny młody zadziorny

Bolesław Błaszczak

Maciej Podgórski

BOLESŁAW Błaszczak z Poniatowej napisał artykuł pt. „Moje refleksje o krytyce" i wysłał Mieczysławowi Rakowskiemu z „Polityki". Artykuł był długi, dziewiętnastostronicowy, dotyczył prawd zbyt ogólnych i raczej znanych. Redaktor odpowiedział, iż oczekuje na konkretniejszy tekst i spostrzega w pisaniu Błaszczaka dobre zadatki dziennikarskie, a jeszcze żeby tych słów nie traktować jako grzeczności konwencjonalnej. W taki sposób Rakowski nie musiał pisać, więc jest dobrze i Błaszczak z jego listu porobił odbitki ksero.

Artykuł Błaszczaka kończy się następująco: „Wyeliminujmy z naszego życia społecznego zasadę — referuj sprawę pozytywnie, a nie obiektywnie. Jeśli to nam się chociaż częściowo uda, to i podczas odczytu na temat jakości pracy kierownik wydziału produkcyjnego będzie chętnie podawał przykłady brakoróbstwa z własnego podwórka, a nie z... koncernów amerykańskich!". Na to zakończenie autor zwraca mi uwagę, ponieważ jest ono kwintesencją jego zainteresowań gospodarczo-społecznych, obserwacji życiowych oraz wnikliwej lektury prasy polskiej.

Błaszczak ocenia siebie jako postać raczej kontrowersyjną w tym sensie, że usiłuje ludziom mówić prawdę i egzekwować swoje uprawnienia obywatelskie. Na przykład kiedy świeca zapłonowa w jego nowym maluchu wysiadła po dwustu kilometrach przebiegu, odesłał ją do fabryki z odpowiednim pismem, że taka i taka sprawa, świeca nie daje iskry i niech fabryka zbada defekt, żeby w przyszłości usprawnić produkcję. I oto proszę — fabryka przysyła Błaszczakowi nową świecę, uznając zasadność reklamacji.

Ja twierdzę, iż dla uniknięcia takich korowodów wystarczy zaopatrzyć się w świece „pewexowskie" marki „champion" po dolarze sztuka. Ale Błaszczak uważa, że gdyby wszyscy obywatele dochodzili swoich uprawnień klientowskich, to i polskie produkty byłyby odpowiedniej jakości. Toteż bardzo się zdenerwował, kiedy się dowiedział, że istnieje projekt zakupu licencji na zwyczajny przylepiec i napisał krytyczny artykuł do „Głosu Edy" w tej sprawie, albowiem nasz „poloplast" wydaje mu się całkiem dobry.

Może jest za mało na rynku „poloplastu"? No tak, może za mało. Ale może to się wiąże z ograniczeniem przemysłu terenowego. Jako kierownika działu elektronicznego przetwarzania danych w Zakładach Zmechanizowanego Sprzętu Domowego Predom-Eda w Poniatowej, Błaszczaka niby kwestia „poloplastu" nie powinna obchodzić. Ale on jest z ludzi, którzy dużo myślą i dyskutują, nie o pryncypiach oczywiście, lecz o realizacji, i dla niego nie ma tematów obojętnych.

Żeby się orientować w świecie, czyta wiele gazet. Radgowski, Passent, od nich zaczyna. I na szkoleniach partyjnych, które prowadzi, bardzo mu się te lektury przydają. A szkolenia są o polityce społeczno-gospodarczej. Rynek, ceny, inwestycje... Niezwykle trudne tematy.

Na pytania robotników dotyczące trudności surowcowych i inwestycyjnych Błaszczak zawsze odpowiada, że tylko wydajna praca może zniwelować nasze trudności i czy pytający towarzysz nie widzi na własnym odcinku działania zawodowego spraw, które można by ulepszyć. I wtedy dopiero zaczyna się rozmowa. Bo dziś już coraz mniej ludzi głupich, których dałoby się zadowolić byle kitem. Każdy ma oczy otwarte i każdy powinien robić użytek ze swoich obserwacji.

Kiedyś Błaszczak, jeszcze jako zastępca kierownika działu zaopatrzenia w Edzie, zastał rano na stole jednego z pracowników otwartą butelkę piwa. Nic nie powiedział, tylko sobie zanotował na kartce, dajmy na to: Henlek — piwo — praca. I ktoś mu tę kartkę z biurka, prosto mówiąc, ukradł. W jakiś czas później z okazji swoich imienin wychylił Błaszczak w pracy, przed samą trzecią, symboliczną lampkę wina z kolegami. I poszła fama po zakładzie, że sam wódkę pije, a na innych donosy pisze.

Oczywiście, to nie był żaden donos, tylko wewnętrzna notatka ku pamięci, i obu spraw nie można porównywać. Ale wtedy się przekonał, jak bardzo trzeba uważać, bo ludzie wszystko widzą. I być może w całej tej sprawie zabrakło Błaszczakowi konsekwencji w postępowaniu, którą mu zawsze wpajał jego nauczyciel matematyki Marian Morelewski z technikum Vetterów w Lublinie.

Są tacy, co Błaszczakowi zazdroszczą. Bolo, mówią, taki młody, a już ma wszystko, i kierownika, i mieszkanie w bloku, czteropokojowe, nieźle urządzone, i malucha, i garaż niedługo dostanie. Podejrzewali Błaszczaka, że jego społeczna działalność z interesownych pobudek płynie.

Błaszczak tłumaczy to tym, iż istnieje jeszcze w świadomości ludzkiej stereotyp działacza, nie całkiem bez racji zresztą, stosującego metodę japońską: to — to — za — to. Działacza sezonowego, który się uaktywnia przed otrzymaniem mieszkania lub przed podwyżką poborów, a potem śpi.

Ale Błaszczak musi o sobie powiedzieć, bez fałszywej skromności, że do takich nie należy. Bardzo dużo już w prywatnym życiu osiągnął jako mężczyzna trzydziestoletni i zarabia około dziewięćdziesięciu tysięcy rocznie, tak że mógłby spasować, a przecież działa dalej intensywnie.

O swojej biografii opowiada Błaszczak, że jest normalna: wykorzystał szanse, jakie socjalizm stwarza chłopskiemu dziecku. Po skończeniu wydziału handlu wewnętrznego SGPiS w Warszawie podjął pracę jako ekonomista w poniatowskiej Edzie, bo tutaj rysowała się najlepsza szansa na mieszkanie, a był już żonaty i niebawem miał się urodzić pierwszy „muzykant", czyli syn. Obecnie ma dwu „muzykantów".

Zaopatrzenie, mówi, to była szkoła życia, gdzie się odbija stan gospodarki, błędy w planowaniu, kłopoty materiałowe i gdzie widać, w jakich szczególnie miejscach kołdra jest przykrótka. O niedostatkach koordynacji międzyresortowej też gotów wiele powiedzieć na podstawie doświadczeń zaopatrzeniowca. I nieraz go szlag trafiał, kiedy widział, że maszyna może stanąć ze względu na brak nieswielkiego detalu.

Gdy obejmował, w listopadzie 197 roku, kierownictwo działu elektronicznego przetwarzania danych, to była komórka bardzo młoda i nie wszyscy rozumieli jej potrzebę. Zresztą dotąd w Polsce tu i ówdzie „chodzą" obok siebie dwa systemy opracowywania danych — komputerowy i liczydłowy.

Pracując w dziale EPD, Błaszczak widzi, jak wielu kłopotów zaopatrzeniowych dałoby się uniknąć przez właściwą organizację, czyli postęp organizacyjny, któremu właśnie jego dział służy. Weźmy choćby taką elektroniczną ewidencję materiałową, informującą o ruchu materiałów w zakładzie. Przedtem notowali tylko stany kartotekowe, a teraz mogą wychwycić materiały niechodliwe. Dyrekcja się dowiaduje, czego nie potrzeba kupować, co przecenić i sprzedać komu innemu.

Dalej — elektroniczna ewidencja kadrowa, wmontowana w resortowy system kadrowy. Kilkaset informacji o pracowniku — od stanu rodzinnego aż po rozmiar głowy pod czapkę. W lutym tego roku Eda jako pierwsza w resorcie zrealizowała elektroniczną ewidencję kadrową. Kierownik Błaszczak liczy, iż dożyje tej chwili, gdy na stanowiska kierownicze będzie ludzi „wyrzucał" komputer jak inżyniera Karwowskiego w telewizyjnym „Czterdziestolatku".

Błaszczak powiada, że robota, którą wykonuje i którą kiedyś trzeba było zacząć, służy przyszłości. Ale gdy w zakładzie bałagan i niekompetencja, wówczas nie ma mowy o komputeryzacji. W każdym razie ten etap Eda ma za sobą i teraz nie widać odwrotu: wszystko zmierza do elektronicznego ośrodka przetwarzania danych, dostarczającego szybkich analiz ekonomicznych i umożliwiających planowanie operatywne produkcji.

Niektórzy szefowie, a szczególnie księgowi, muszą się tylko nieco dokładniej zorientować, co można i co się chce od służby kierowanej przez Błaszczaka wydusić. Wszystko zależy od umiejętnego i wczesnego sprecyzowania problemów. Bo inaczej komputer w zakładzie pełni funkcję kwiatka przy kożuchu — twierdzi Błaszczak.

Na koniec pewno chciałbym się dowiedzieć, jakie jest jego hobby? Czemu prywatnie oddaje się Bolesław Błaszczak, jeden z dwudziestu wybitnych, młodych Polaków roku 1979, laureat plebiscytu zorganizowanego przez „Sztandar Młodych", Młodzieżową Agencję Wydawniczą oraz Radę Główną FSZMP?

Prywatnie laureat oddaje się gotowaniu. Zupy nawet, mięsa, wszystko. A w dodatku lubi zmywać gary. W ogóle zresztą jest człowiekiem domowym i rodzinnym. Więź z rodziną na wsi odczuwa bardzo mocno. Na wczasy nie jeździ, tylko, jak powiada, na ranczo do rodziców lub teściów latem, żeby pomagać w żniwach. Toteż rodzice i teściowie mu na książeczkę samochodową odkładali i stąd ten „maluch". Nikt nie może powiedzieć, że tanim kosztem Błaszczak się wzbogacił.

Wszystko co ma, zawdzięcza sobie. Niepotrzebne mu cudze sukcesy. Dlatego prosi, żebym dyskretnie sprostował informację z prasy codziennej, że jest racjonalizatorem. Bo w zakładzie mówią: „Co ty, Bolek, pod racjonalizatora się podszywasz, inżyniera!".

Tomasz Rzepa

* * *

w powrót jest wiara i odęcie warg
w przestrzeń jest wybieg i powrót odysa
w niebo jest drabina przy której anieli
jakuba uświadomią na miarę wstąpienia

w sen jest wniknięcie i warta rozumu
jawa się plącze około źrenicy
spojrzenie sięga gdzie wzroku nie zoczysz

twarz przy której odnaleźć się można
dnia każdego o każdej dnia porze
każda ona wyrazi na ile przy tobie
sensu wybiegłego poza pozór wzroku

w sens jest zaklęcie ile go na co dzień
więc podniebne szlaki ktoś znowu przeciera
ktoś oku nie wierzy ktoś z wzrokiem wstępuje
uniesionym w siebie na schody ku światłu

Halina Szal

* * *

zbieram okruchy ciepła
z twoich czułych półuśmiechów
z niedomówień
buduję
gotycką katedrę szczęścia —
mój zamek na lodzie —
widny i kolorowy jak witraże
kiedyś zamek odpłynie
z wiosennym ciepłym wiatrem
a ja pozostanę w starodawnym kościele
jak ostatni wierny
który nie może zapomnieć
architekta

* * *

i znów byliśmy w moim śnie
w lesie sosnowym z krasnalami
tak małymi
że tylko po bucikach czerwonych
pozn
i pomponach u czapek
a jeden z nich był tobą
nosił mi poziomki
i cieszył się
gdy nanizane na źdźbło trawy
jak koraliki na sznurek
kołysały się lekko
przyprawiając mnie
o zawrót głowy

LUBLIN PRZED I PO WYZWOLENIU 7.

Trudne rozmowy

Ireneusz Caban

POWRÓT do normalnego życia w wyzwolonym Lublinie uzależniony był w dużej mierze od wyjaśnienia złożonych spraw politycznych. Do pierwszych kontaktów pełnomocników 1 Armii Wojska Polskiego z komendą miasta AK doszło już pod wieczór 25 lipca. Okazały się one jednak bezowocne, jako że dowództwo komendy odmówiło jakichkolwiek rozmów „z wojskiem Berlinga". W ostrym tonie przedstawicielom WP oświadczono, że AK może tylko pertraktować z władzami radzieckimi.

W tej sytuacji postanowiono dotrzeć bezpośrednio do Komendanta Okręgu AK, płk. K. Tumidajskiego („Marcin", „Edward"), który, choć działając jawnie, wyraźnie konspirował się przed przedstawicielami lewicy. „Przez czas od 25 do 27 bm. — meldował on — oficerowie Berlinga przez Komendę Miasta AK domagali się stale (co parę godzin) rozmowy ze mną. Do czasu otrzymania decyzji na moje zapytania drogą radiową, rozmowy unikam". Brak jednak dowodów, aby nadeszła jakakolwiek inna decyzja, niż obowiązująca w założeniach planu „Burza", pomijając już to, że cytowany meldunek dotarł do Komendy Głównej AK w dniu 1 sierpnia, kiedy problemy Lublina i Lubelszczyzny straciły swoją wagę wobec rozpoczętego w Warszawie powstania.

Równocześnie z próbami nawiązania dialogu przedstawicieli WP z dowództwem AK, czyniono kroki w celu podjęcia rozmów z Delegaturą Okręgową. Z inicjatywą wyszli przedstawiciele WRN.

„Rankiem 26 lipca zjawił się w moim biurze wysłannik wspomnianego wyżej ppłk. Korczyńskiego" — podawał w depeszy Delegat Okręgowy. I w tym przypadku nie chciano w ogóle rozmawiać z przedstawicielem WRN, a wezwanie do podporządkowania się PKWN bądź „zaprzestania działalności pod rygorem pociągnięcia mnie do osobistej odpowiedzialności" zostało skomentowane oświadczeniem delegata „iż zawiesić urzędowanie może tylko pod siłą fizyczną lub na wyraźny rozkaz władz sowieckich".

Stanowisko „londyńczyków" nie miało większego znaczenia dla utrwalenia pozycji lewicy i stopniowe wchodzenie WRN w rolę gospodarza miasta i województwa, tym bardziej — co już podkreśliliśmy — że „działalność" Delegatury Okręgowej ograniczała się tylko do fizycznej obecności, a w niektórych rejonach Lubelszczyzny problem „dwu władz" został już rozwiązany wcześniej.

Działacze lewicy wykazywali coraz większą aktywność polityczną i organizacyjną. W krótkim czasie nawiązali oni kontakty z miejscowymi działaczami robotniczymi (P. Ryczek, H. Baranowski, W. Przedmojski) i wspólnie z nimi zorganizowano komitety fabryczne (pierwsze z nich powstały w: garbarniach, elektrowni, Państwowej Fabryce Pasów, Państwowym Monopolu Tytoniowym, zakładach metalowych „Plon" i „Wolski"). Wyznaczono także pełnomocników WRN, których zadaniem było zabezpieczenie i uruchomienie fabryk. Przystąpiono do reaktywowania działalności związkowej tworząc zalążki Rady Związków Zawodowych (mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 56).

W dniu 28 lipca działacze lewicy nawiązali pierwsze kontakty z przedstawicielami inteligencji (do szerszego spotkania z inteligencją doszło w Lublinie 31 lipca na wiecu w kinie „Apollo", już z udziałem członków PKWN), a tymczasowy przewodniczący WRN, Szymon Żołna, przeprowadził dłuższą rozmowę z prorektorem KUL, prof. Białkowskim, oraz przedstawicielem kurii biskupiej, którzy złożyli wizytę w WRN, aby zorientować się w stosunku PKWN do kościoła.

W tym czasie przystąpiono również do organizowania legalnej działalności Komitetu Obwodowego PPR (początkowo w budynku przy Krakowskim Przedmieściu 62, a następnie pod numerem 70). Zadanie to otrzymał W. Zdunek; wkrótce zorganizowano tymczasowy Komitet Miejski PPR, którego sekretarzem został J. Pazyna. Przy końcu lipca ukazała się pierwsza legalna odezwa PPR — podpisana przez Komitet Obwodowy Polskiej Partii Robotniczej (Lublin, dnia 27 lipca 1944).

W dniu 28 lipca odbyła się pod przewodnictwem Szymona Żołny „pierwsza narada obecnych w Lublinie członków Wojewódzkiej Rady Narodowej (obecni byli również generałowie: Z. Berling i A. Zawadzki oraz płk F. Ochab) poświęcona najpilniejszym zadaniom tworzącej się władzy. Mówiono na niej „o szybkim zabezpieczeniu fabryk i magazynów, o przyciągnięciu ludzi do pracy, o organizowaniu władzy na terenie województwa". Dokonano również wstępnego przydziału zadań dla członków rady, który obowiązywał do oficjalnego ukonstytuowania się lubelskiej WRN, a także zatwierdzono treść wezwania „Do ogółu obywateli miasta Lublina" w sprawie ochotniczego zaciągu do wojska i utworzono trzy punkty werbunkowe (Krakowskie Przedmieście 41, Narutowicza 27, pl. Bychawski 11). Rozplakatowano je 29 lipca.

Jednocześnie w dniu tym na murach miasta pojawił się apel podpisany przez dowódców 1 Armii WP: Z. Berlinga i A. Zawadzkiego, wzywający członków AK, BCh i innych organizacji konspiracyjnych do zgłaszania się w punktach werbunkowych. Apel podkreślał przy tym, „że wobec objęcia władzy przez PKWN i utworzenia Wojska Polskiego wszystkie istniejące formacje wojskowe obowiązane są podporządkować się mu, jest on bowiem jedynym przedstawicielem suwerenności narodu".

Jeszcze przed wydaniem tych zarządzeń do akcji wyjaśniającej w Lublinie wprowadzono specjalną grupę werbunkową 1 Armii WP (liczyła ok. 50 oficerów i podoficerów polityczno-wychowawczych), która prowadziła agitację za wstępowaniem do wojska, w tym dwukrotnie akcję taką przeprowadzono wśród żołnierzy AK. Już 27 lipca utworzono w Lublinie batalion zapasowy dla ochotników rekrutujących się spośród członków organizacji konspiracyjnych. (Dodajmy, że akcja werbunkowa w Lublinie, mimo oporu kierownictwa AK, dała dobre wyniki. Do końca lipca do trzech wspomnianych punktów werbunkowych zgłosiły się ochotniczo 1602 osoby, w tym 64 oficerów, 237 podoficerów i 701 szeregowych).

Była to kolejna już próba bezkonfliktowego rozwiązania problemu. W dniu 27 lipca ukazał się cytowany już poprzednio rozkaz gen. J. Mierzycana, a 28 — opublikowano „Rozkaz 01" komendanta garnizonu miasta Lublina, gen. mjra Trufanowa, polecający: „1. Zachować w mieście całkowity porządek. 2. Wszystkie urządzenia i przedsiębiorstwa miejskie, obsługujące potrzeby ludności (elektrownia, wodociągi i kanalizacje, szpitale, straż ogniowa, łaźnie, przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe) winny kontynuować pracę, te zaś, które pracę przerwały — winny ją wznowić. 3. Wszystkim osobom nie mającym bezpośredniego związku z Czynną Armią i Czynną Polską Armią zabraniam poruszania się po ulicach miasta od 10 wieczór do 5 rano. 4. Wszystkie osoby i organizacje winny zdać natychmiast broń, zarówno palną, jak i białą, zaś osoby znające miejsca, gdzie znajduje się broń, natychmiast zawiadomić Komendę Miasta, ul. Krakowskie Przedmieście 62. 5. Kierownicy i dowódcy wszelkiego rodzaju uzbrojonych oddziałów (policji, partyzanci itp.) winni natychmiast osobiście zgłosić się do Komendy Miasta w celu otrzymania dalszych instrukcji. (...) 7. Niewypełnienie któregokolwiek z punktów powyższego rozkazu rozpatrywane będzie zgodnie z prawami obowiązującymi w strefie działań wojennych".

Mimo kategorycznych sformułowań, rozkazy te zostały zupełnie zbagatelizowane przez miejscowe dowództwo AK, zasłaniające się stanowiskiem swojego kierownictwa, zaś wojskowe władze polskie i radzieckie za wszelką cenę chciały uniknąć zastosowania przysługujących im środków nacisku i dalszego zaognienia i tak nabrzmiałej sytuacji. Ponowiono więc próby dotarcia do Delegata Okręgowego RP oraz Komendanta Okręgu AK i przeprowadzenia z nimi sensownych rozmów. 27 lipca zdecydował się na to osobiście dowódca 1 Armii WP, gen. Z. Berling. Przybył on do Komendy Miasta AK i zażądał rozmowy z W. Cholewą. „Odpowiedziano mu — stwierdzała depesza AK — że przecież Okręgowy Delegat Rządu jest tu gospodarzem i wypadałoby jemu osobiście złożyć wizytę...". Na ostry ton odpowiedzi gen. Berling zareagował spokojnie i „zgodził się na to i zapowiedział swoje przybycie". Do rozmowy tej doszło w dniu następnym, lecz, mimo długotrwałej dyskusji i przekonywania, Delegat Okręgowy jeszcze raz odrzucił możliwość uznania PKWN i podporządkowania oddziałów AK dowództwu WP — uznając jedno i drugie „za nielegalne". Jednocześnie podkreślił, że zarówno on, jak i komendant Okręgu „mogą tylko rozmawiać z władzami sowieckimi".

W tym trudnym dialogu szczególną uwagę zwraca spokojny ton, opanowanie i rozwaga przedstawicieli lewicy. Potwierdzają to i zachowane dokumenty AK oraz delegatury: „Gen. Berling ostrzegał, by nie stwarzać zadrażnień z AK i kładł nacisk na ostrożne postępowanie, jak się wyraził, z „londyńczykami". Podobne informacje zawarto w depeszy „Lawiny" (T. Komorowski) do Londynu z dnia 4 sierpnia 1944 r.

W tym samym dniu (28 VII) doszło do ponownego spotkania przedstawicieli lewicy z Delegatem Okręgowym i Komendantem Okręgu AK. Tym razem na życzenie dowództwa WP i WRN uczestniczyli w nim również przedstawiciele Armii Czerwonej. Podczas spotkania, już w sposób wyraźny — powołując się na obowiązujące w mieście rozkazy i zarządzenia władz wojskowych — zażądano przekazania służby warownniczej w Lublinie oddziałom 1 Armii WP i zlikwidowania posterunków PKB lub ich podporządkowania powstałej „Lubelskiej Obwodowej Komendzie Milicji Obywatelskiej".

Sprawę statusu i „jawności działa-

Na rolniczym poligonie

Dokończenie ze str. 1

sze, sprzed kilku dni, wstaje na widok ludzi i winduje na swym grzbiecie kota. Jeszcze dwa koty siedzą między cielakami. Przyjemnie kotom, przyjemnie cielętom.

Krowy są amerykańskie, ale z pochodzenia europejki holsztyńsko-fryzyjskie. Każda z nich jest maszyną mleczną. Taka z pięknym zadem i kolosalnymi wymionami może dać 35 a nawet 40 litrów mleka dziennie. Każdy, kto wie, ile daje zwykła wiejska „mećka", sapnie z wrażenia. W tej „maszynie" dla wyprodukowania jednego litra mleka musi przepłynąć przez wymię ponad 400 litrów krwi, a więc dziennie tłoczy się przez nie około 20 tysięcy litrów krwi. Wśród tych krów dające 6 tysięcy litrów mleka rocznie wcale nie są wielką rewelacją.

Kamena str. 4

Patrzę w ślad za prorektorem na spokojną krowinę i jej towarzyszki na wybiegu i nie mogą sobie wyobrazić pędu strumieni białych i czerwonych płynów, jakie przewalają się w ich wnętrzach.

Tego nie stworzyła natura, lecz nauka.

Z profesorem doktorem habilitowanym, Władysławem Zalewskim, prorektorem do spraw nauki Akademii Rolniczej w Lublinie, zwiedzamy poligon rolniczy w Czesławicach i jest okazja, żeby zobaczyć, co musi wymyślać nauka, by zaspokoić potrzeby zwykłego kuchennego stołu. „Poligon" — to Rolniczy Zakład Doświadczalny, jeden z czterech prowadzonych przez AR. Profesor W. Zalewski zawiózł mnie do Czesławic, bo na Felinie nie byłoby co pokazywać, zaś RZD w Bezku i w Uhrusku są za daleko. Zakład w Czesławicach to chluba rolniczej myśli naukowej w Lublinie i najbardziej nadaje się do opisania w prasie.

Tu znajduje się najlepsza w regionie obora: w ubiegłym roku udojono od każdej z 57 krów średnio 4800 l mleka, które miało 4,06 proc. tłuszczu. Abstrakcja zawarta w tych liczbach urealni się każdemu, kto ostatnio wystawał rankiem w kolejkach po sklepowe mleko za 2,90 zł. Ale AR nie ma wpływu na zakłady mleczarskie.

Naukowcy mają natomiast pewien wpływ na to, co hoduje się, lub będzie się hodować w pegeerach. Prof. W. Zalewski widzi przyszłość mleczarstwa we wspomnianej rasie holsztyńsko-fryzyjskiej, zmodyfikowanej w Stanach Zjednoczonych. W lubelskiej Akademii hoduje się ją z uzyskanych przed kilkoma laty stu porcji nasienia buhajów amerykańskich. Tym nasieniem zostały zapłodnione krowy polskie i właśnie w Czesławicach, ale też w innych RZD-ach, rodzą się cielęta nowej rasy.

Profesor Zalewski, autor akademickiego podręcznika pt. „Hodowla bydła", godzi się na krótki wykład o bydle mlecznym.

Sprawa wygląda w ten sposób, że abyśmy mogli pić to, co chcemy i ile chcemy, krowy muszą mieć odpowiednie pomieszczenia, dobre wyżywienie i dobrą obsługę. I koniec. Na tych warunkach zasadza się główny nurt naukowych poczynań. Jeszcze jedna kwestia podstawowa — rasa. Ale wartość genetyczną bydła łatwo zmarnować, jeśli się zaniedba choćby jeden z trzech powyższych warunków.

Poza tym rozmnażanie — nie naturalne, ale poprzez sztuczną inseminację.

— Najlepszy jest taki buhaj, którego córka dobrze się doi — mówi obrazowo profesor.

Dzięki sztucznej inseminacji buhaj może mieć dużo córek i dwa razy dłuższe życie niż gdyby zapładniał w naturalny sposób. Wybiera się osobniki najbardziej wartościowe do przekazywania owej trudno dziedzicznej cechy, jaką jest wysoka mleczność. Sprawą naukowców jest, aby powstało jak najliczniejsze potomstwo, zachowujące tę cechę. Bo dużo łatwiej zwierzęta dziedziczą wysoką zawartość białka niż tłuszczu w mleku. Ale profesor Zalewski podkreśla nieodmiennie, że najlepsza krowa nie da tyle mleka, na ile ją teoretycznie stać dzięki krzyżowaniu ras, jeśli się nie zapewni odpowiedniego pomieszczenia, wyżywienia i obsługi.

Z tego, co opowiadają profesor Zalewski i dyrektor RZD-u w Czesławicach, mgr Edward Wójcik, wynika iż takich, niby nienaukowych

nia" oddziałów PKB dyskutowano już 27 lipca, ale prowadzący rozmowę gen. Berling uzyskał odpowiedź, że komendant PKB nie może dokonać tego z własnej woli i że rozkaz taki „może wykonać tylko na polecenie Delegata Rządu". Dopiero wspomniane wyżej rozmowy doprowadziły do wydania takiego polecenia, w związku z czym w nocy z 28 na 29 lipca oddziały PKB opuściły zajęte posterunki, a formacja ta została rozwiązana.

W dniu 28 lipca również oddziały Armii Krajowej przekazały protokolarnie służbę wartowniczą „w zakładach użyteczności publicznej na kolei" żołnierzom 1 Armii WP. Prowadzone również były zaczęte dzień wcześniej rozmowy dowódcy 69 armii gen. płk. W. Kołpakczi z Komendantem Okręgu AK płk. K. Tumidajskim mające na celu skłonienie go do jedynie słusznego rozwiązania „sprawy oddziałów AK" — podporządkowania ich dowództwu WP lub rozbrojenia. Tumidajski odmówił jednak zdecydowanie uznania zwierzchności dowództwa WP i zapowiedział rozbrojenie podległych sobie oddziałów. Doszło do tego wieczorem 28 lipca, a „oddziały AK w liczbie ponad 1000 ludzi złożyły broń w ręce władz sowieckich". Ogółem w Lublinie zdano ok. 3 tys. karabinów, 80 karabinów maszynowych i 20 (?) pistoletów. Część jednak przekazała ludność cywilna zgodnie z rozkazem władz wojskowych z 27 lipca.

Nie można jednak tej decyzji traktować jako demobilizacji, lecz jako usunięcie się oddziałów AK z Lublina. Już bowiem w nocy część ludzi „batalionu lubelskiego" zabierając poprzednio ukrytą broń (przed władzami radzieckimi zdawano broń starą, mniej sprawną itp.) skierowana została w rejon Zofianki, gdzie Komendant Okręgu AK zarządził ponowną, choć również nieudaną, koncentrację 8 pp Leg., aby następnego dnia zarządzić „ponowne urlopowanie oddziałów". W niedalekiej przyszłości wielu żołnierzy tego „batalionu" znalazło się w szeregach 2 Armii WP. Już w ciągu pierwszych trzech dni po utworzeniu punktów werbunkowych zgłosiło się do nich ok. 300 żołnierzy AK.

Jednocześnie trwała w Lublinie swego rodzaju wojna psychologiczna inspirowana przez przedstawicieli obozu londyńskiego. 27 lipca wydany został rozkaz Komendanta Okręgu AK, który sugerował wprost przejściowość zaistniałej sytuacji i podkreślił, że Armia Krajowa nie osiągnęła zakładanych celów. Jakkolwiek nie można jeszcze treści tego rozkazu uznać ze wezwanie do nowej konspiracji (Komenda Okręgu AK działała w tym czasie jawnie), to jednak w sposób wyraźny podsycał on szeregi młodzieży akowskiej hamując wśród niej satysfakcję ze zrzucenia jarzma hitlerowskiego i odzyskania niepodległości.

Coraz częściej zaczęto szermować hasłem, które miało wkrótce otumanić wielu, że „obecnie nie rozgrywa się walka o władzę, lecz o Polskę" (zamieszczała je np. prasa AK). Do ataku na tworzącą się władzę przystąpiły działy propagandowe stronnictw politycznych „obozu londyńskiego". SL „Roch", PPS-WRN i SN. W dniu 28 lipca wydały one tzw. odezwy polityczne, w których zarzucano PKWN „zdradę interesów narodowych", a działaczom wchodzącym w jego skład „zdradę interesów partyjnych". Na coraz większą skalę zaczęła rozwijać się paskinada, atakująca ludzi współpracujących z nową władzą.

Jak podaje J. Przymanowski, w tych dniach w wyzwolonym Lublinie szeroko kolportowana była ulotka podpisana przez „Pełnomocnika na Kraj i wicepremiera Rządu Rzeczypospolitej Polskiej", nosząca datę 15 lipca 1944 r. „Czeka nas nie tylko walka z okrutnym okupantem — pisano w niej — do której nikogo nie trzeba zagrzewać (...) Czeka nas nadto ujęcie steru odradzającego się Państwa (...). Od zachowania władz sowieckich na terytorium Rzplitej Polskiej uzależniony jest całkowicie stosunek do nich władz i ludności polskiej (...). Obywatele polscy muszą się karnie podporządkować zarządzeniom i rozkazom wyłącznie własnych, legalnych, polskich władz (...). Każdy żołnierz, chłop, robotnik, pracownik umysłowy musi o tym pamiętać, aby i w końcowym okresie naszych ciężkich zmagań nie zbłądził, aby nie dać się zastraszyć ani oszukać hasłom, oznakom i słowom najbardziej patriotycznym, używanym podstępnie przez obce żywioły dla łatwiejszego osiągnięcia swych celów. Nikt też nie powinien dać się zwieść hasłom dzikiej przebudowy naszego ustroju społeczno-gospodarczego".

Zaostrzenie się walki propagandowej (w tym czasie skonfiskowano znajdujące się w druku i wydrukowane już ulotki i zarządzenia) i coraz ostrzejszy jej ton, a przede wszystkim bezkompromisowe stanowisko przedstawicieli „obozu londyńskiego" wobec PKWN nie mogło być dłużej tolerowane. W dniu 28 lipca od Delegata Okręgowego zażądano zaprzestania działalności i opuszczenia budynku przy Krakowskim Przedmieściu 43. W nocy z 28 na 29 lipca budynek ten istotnie zwolniono przenosząc się na ulicę Szopena 7, gdzie zamierzano kontynuować działalność. Wieczorem tego dnia budynek ten został przejęty przez wojsko.

Praktycznie w dniu 29 lipca uległ likwidacji stan „dwuwładzy" w Lublinie. Potwierdzała to wydana przez WRN odezwa „Do obywateli m. Lublina i województwa lubelskiego" (podpisał ją Szymon Żołna). Pisano w niej m. in.: „W imieniu Krajowej Rady Narodowej i Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego całą cywilną władzę państwową w m. Lublinie i województwie lubelskim obejmuje Wojewódzka Rada Narodowa (...) Jedynie legalną władzą w terenie są osoby, instytucje i organizacje wyznaczone przez Wojewódzką Radę Narodową i tylko im należy się podporządkować".

LIST Z RZESZOWA

DOMY myje deszcz. Głowy grzeje słońce. Czy wiosna ma jeszcze jakiś wpływ na poetów? Ostatni jarmark poezji „Prometeja": parada plagiatów. Nie szumiały żadne skrzydła, skrzypiała podłoga, pretensjonalne recytacje sypały się w znudzone uszy jak wysuszony groch. Ułożyć piramidkę wierszy, wleźć na nią, odbywać spotkania chałturskie. A pasja, oburzenie, smutek, wściekłość? Czytam wiersze nikomu nieznanego licealisty. Tam jest to wszystko, ale jego nigdzie nie ma. Ustawiacze nie zdołali go jeszcze skierować, w kolejce czekających na wysłużone laury aż mdli od poprawności.

Łańcut ma pisarza wielkiego smaku i pogody ducha. Roman Turek, człowiek o wielkiej życiowej mądrości i takim samym, samorodnym, barwnym talencie. Zawistnicy piszą o nim jak o bożym prostaczku, przypinają mu etykietkę „pisarz ludowy", uśmiechają się przy tym, robią oko, które ma być perskie, a jest tylko idiotyczne. Skromny, pracowity pisarz, łapie w sieć słów nie tylko swoje ciekawe życie, ale całą, jakże zmienną epokę. Pełen humoru, autoironii. Sam z siebie się śmieje, a ludzie chętnie biorą go nie za Haszka, lecz za Szwejka. Nomen omen krytyk literacki Łyp pisze: o autentyczności talentu Romana Turka świadczy między innymi fakt, że Mieczysław Grad popularyzował go na łamach „Orki"... — To pierwsze zdanie z recenzji, która składa się ze sklejonych butaprenem cytatów. To nie krytycy, lecz czytelnicy stwierdzają autentyczny talent Romana Turka. A zabrać z recenzji Łypa cytaty, zostanie tylko butapren i żadne tu na nic laurki.

Roman Turek — pisarz niedoceniany, lubiany przez czytelników, mniej przez wydawnictwa, a pobłażliwie poklepywany po ramieniu przez poprawnie belkocących polonistów. Do jego małego domku w Łańcucie powinni jeździć po rozum, a nie po „żer". Prawda, Turek nie ma ukończonej szkoły wyższej, ale on studiował życie, a ci co pochopnie wpychają jego twórczość do statystycznej klatki nie wiedzą nawet tyle, że przymiotnik „ludowy" to zaszczyt, a rozumu nie gwarantuje żaden tytuł.

• • •

Miasto tętni, dymi, sapie. Duży, leniwy kot w strugach wiosennego deszczu. Samochodziarze się cieszą, właśnie oddano do użytku wielkie centrum obsługi fiata, tyle stanowisk, że nawet czasem warto i z Lublina przyjechać. Czysto, białe fartuchy, poczekalnia, stoliki, gazety. Czyżby koniec udręki zmotoryzowanych? Poczekajmy, tak łatwo o hurra optymizm, a tak trudno o zwykłą, solidną usługę. Za wszelkimi efektami tak w dziedzinie materialnej jak i duchowej kryją, a czasem ukrywają się ludzie. I ich interesy. Najczęściej, niestety, prywatne. Znajoma pani docent ustawiała do sukcesu córkę zaprzyjaźnionego pana. W eliminacjach przedmiotowych z języka obcego (jeśli pani ciekawa szczegółów, chętnie je podam, tu mam mało miejsca) poleciła dyskwalifikować najlepszą uczennicę pod pozorem, którego nawet nie próbowała szukać w regulaminie, zresztą po co, skoro go tam nigdy nie było. W ten sposób udało się przeforsować swego kandydata do sukcesu. Żadnych przypadków, proszę państwa, ład, pełna zdolność przewidywania, to prawdziwie naukowe podejście. Wygra kto ma wygrać. Zamiast rzeźbić charaktery, pracuje się nad układami — na szczęście nie scalonymi. A co to takiego moralne kwalifikacje? A jaki jest poziom nauczania w zakładzie owej pani? Z samych pretensji można napisać pracę doktorską.

• • •

A Rzeszów rośnie wzdłuż i wszerz. W stronę Łańcuta to już nawet drzewa wycięto, tylko po prawej stronie. Szykuje się miejsce pod autostradę? Ciasno jest, sentyment, ochrona zieleni, ale tu ludzie się śpieszą, drzewa muszą przepuścić te lakierowane, blaszane pudełka. Przybywa mieszkań. Z okna widzę jak ludzie się wyprowadzają z mniejszego na większe. Podjeżdżają samochody ciężarowe, zabierają komplety mebli „Piast" i wiozą je na Baranówkę, Nowe Miasto. Przybywa ludzi. Ulice coraz bardziej rojne i strojne. Dziewczyny w militarnych furażerkach, wojskowych (prawie) spodniach. Bać się, czy się do nich uśmiechać? Co kto lubi.

W podziemiach rzeszowskiego WDK szykują klub związków twórczych; ma tam być bigos i konjak. Starzy bywalcy WDK mają problem jak szykujący uporają się z zapachem, który tam zawsze mieszkał. Tyle lat, kilku przetrwał dyrektorów. A może każdy twórca będzie musiał przychodzić z własnym dezodorantem? Z braku poważniejszych kłopotów ludzie chętnie mówią i o małych. Zresztą te pierwsze też by się znalazły, ale to nie grzyby, z ich szukania żaden pożytek.

Miasto opasane żyłami kolejowych szyn, pełne sprężonych ambicji...

pumex

---

i na pozór zupełnie oczywistych prawd jest w rolnictwie znacznie więcej.

— Nie ma żadnych cudów — twierdzą — wszystko zależy od ludzi.

— W innych krajach bogaci rolnicy powiadają: jesteśmy za biedni, żeby źle budować — mówi profesor Zalewski, pokazując strych w czesławickiej oborze. — Ze strychem użytkowym budynek jest znacznie cieplejszy i suchy, a poza tym to jednocześnie magazyn na paszę.

Przypominam sobie w tym momencie nowoczesne obory, budowane w PGR-ach, gdzie strych zastępuje się drogimi automatami klimatyzacyjnymi.

Bardziej zaskakujący jest jednak inny rozdział wypowiedzi profesora Zalewskiego. Relację swą o zakładach doświadczalnych Akademii Rolniczej rozpoczyna on od opowieści na temat... produkcji. Przez pewien czas mam wrażenie, iż słyszę wynurzenia dyrektora pegeeru: 1875 ha w czterech placówkach, 20 mln zł zysku rocznie, wydajność zbóż średnio 45,4 kwintala z hektara, ziemniaków średnio 336 q/ha, rzepaku 31 q/ha, z czesławickiej chlewni sprzedaje się rocznie 400 knurków i loszek, rozbudowa owczarni zarodowych itd. Wprawdzie liczby astronomiczne, ale rozmywa się wrażenie, że rozmawiam z naukowcem.

Sprawa jest prosta — wszystkie RZD-y są rozliczane nie jak placówki akademickie, lecz jak PGR-y, mają plany produkcyjne, wskaźniki itp.

— Trzeba też wziąć pod uwagę działalność naukową — mówi w pewnym momencie profesor Zalewski.

Gdy później pytam dyrektora Wójcika z Czesławic, czy nie byłoby lepiej, gdyby RZD-y prowadziły działalność wyłącznie naukową, odpowiada on:

— To nasze marzenie!

Ale w chwilę potem nie bez gospodarskiej dumy opowiada o efektach właśnie w produkcji.

Czesławickie gospodarstwo jest jednak podporządkowane działalności naukowej. Pracują tu naukowcy z ośmiu instytutów AR (na Felinie z dwunastu). Wszyscy pracownicy w gospodarstwie mają wpojone, że doświadczenia są najważniejsze. Wprawdzie istnieją zalecenia, żeby naukowcy prowadzili swe badania w PGR-ach, kółkach rolniczych lub spółdzielniach, ale ta koncepcja się nie sprawdza, bo przeszkadza brak dyscypliny, jaka jest absolutnie konieczna w działalności naukowej. Poza tym w przedsiębiorstwach produkcyjnych nie specjalnie lubi się akademików, bo po co mają oni widzieć to, co czasem nie powinno być widoczne...

Nie sposób wymienić wszystkich magistrów, profesorów zajmujących się w RZD-ach wzbogacaniem natury. Na przykład prowadzi się doświadczenia nad krzyżówką pszenicy i żyta (by lepiej rosła na gorszych glebach), nad chmielem (by miał krótszą łodygę), nad warzywami, a także w dziedzinie sadownictwa i nad roślinami wysokobiałkowymi. Naukowe prace są prowadzone w zakresie hodowli drobiu (by można rozróżniać płeć ledwo wyklutych piskląt), owiec (by dawały więcej wełny), trzody chlewnej, a również w dziedzinach nawożenia, żywienia, postępu technicznego itp. Ponad połowa pracowników AR zaangażowana jest w te badania. Wiele prac zlecają lubelskim naukowcom placówki z innych miast.

A przy tym wszystkim to jednak produkcja decyduje o miejscu lubelskich RZD-ów w kraju. W latach 1970—73 miały one pierwszą lokatę, jeśli chodzi o efekty produkcyjne. W następnych latach spadły na ostatnie miejsce, by w minionym i obecnym roku znów wejść do czołówki. Ów spadek to także rezultat pamiętnej deszczowej jesieni, gdy pola tonęły w wodzie.

W czasie, gdy profesor Zalewski opowiada o blaskach i cieniach RZD-ów, wychodzimy z terenów, gdzie dominują budynki obór i chlewni a wchodzimy w rejon upraw roślinnych. Asfalt drogi między aleją starych drzew wiedzie do osiedla mieszkaniowego. Wokół ogródków pracowniczych robotnicy ustawiają nowe ogrodzenie. W głębi wielorodzinne domy załogi. Nieopodal widać trzy szklarnie i poletka doświadczalne z posianym w rzędy tritikalem — krzyżówką żyta i pszenicy. W pobliżu spora grupa studentów odbywa zajęcia dydaktyczne.

Po szklarniach oprowadza inżynier Antoni Zawiślak, który w pewnym momencie zatrzymuje się przy dorodnych kłosach zbóż, dojrzewających pod szkłem i opowiada tajemnicze dla laika historie o poszukiwaniu chromosomów, uodporniających rośliny na choroby.

Ten temat to któryś tam z trzydziestu jeden tematów naukowych prowadzonych w Czesławicach. Pracują tu trzy instytuty zootechniczne, trzy rolnicze oraz po jednym weterynaryjnym i ogrodniczym. Jedna trzecia nakładów idzie na naukę.

— Jesteśmy dla Akademii zakładem usługowym — mówi pod koniec wizyty dyrektor Wójcik — Nasze gospodarstwo to rzeczywiście rolniczy poligon.

Bronisław Kowalski

POEZJA POLSKA ZA OLZĄ

Kazimierz Kaszper

A WILK ŚPI

miał mnie wyświecić księżyc
z tego schowka cienistego
podszedł blisko na dotknięcie
— — —
a wilk śpi

słowo rozpajedził na wszystkie znaczenia
wstrząsnął osad słoje wieków
westchnął jęknął zawył
dreszczem przeszył
— — —
a wilk śpi

księżycu księżycu
na nic twoje światło
i moce nadśpiewne
na nic gwiezdne skrzydło
— — —
mnie już wycie zbrzydło

Gustaw Sajdok

LIPCOWE ŚWIĘTO

Czuję zapach kwiatów
w wąskich uliczkach
w tramwaju
na targowisku
Depczę po piętach koślawym płotom
z głowami słoneczników
fioletem malw

Na Powązkach czyjeś ręce
kwiaty układają w wieńce
Pod krzyżami na rozstajnych drogach
w szklankach po konfiturach
zardzewiała woda
żywi niezapominajki
złocienie
jaskry
pióropusze traw
Ofiarom kolczastych drutów
każdą wiosną
dziewczynki plotą długie warkocze stokrotek
Wyszli
przystanęli na schodach
już fotograf testuje kliszę
A ja roześlę na wszystkie strony świata
ten bukiet żywych róż
Idę w ten kraj
zielonych łąk
śpiewnych
piaszczystych
sosnowych
dróg
kraj kwiatów
Patrzę
ktoś wiechę zatknął na wieży
Lipcowe Święto
i mozołom należy się kwiat

Janusz Gaudyn

BOHATER

Spadł jak chrabąszcz
Zbytnio obciążono go zasługami

A powinien był nosić je tylko
jako opaskę na lewym oku
Prawe i tak miał ślepe

Nie zdziwił się kiedy podniosłem go
i dmuchając w dłonie powiedziałem

Leć i przynieś sobie szczęście

Wilhelm Przeczek

długo umierał budzik dziadka
trzeszczał stos pacierzowy
starego kredensu

podzwonne kopuły wypukłej
z mosiądzu

babcia się modliła
o rychłą śmierć
sprężyny

a potem budzik uczcił siebie
ciszą

W KRAJOBRAZIE SŁÓW

Miłość na odczepnego

Zygmunt Mikulski

CZYTELNIK — jaka to kategoria literacka? Probierca? Kibic? Czynnik kształtujący? Trudno dziś odpowiedzieć na to pytanie wobec faktu, że książki w znacznej masie służą jako element dekoracyjny regałów i meblościanek. Pochłania się książek dużo, książki od dawna już idą spod lady, a jednak nie można tego faktu uznać za wymowną samą przez się pozycję statystyczną na podobieństwo np. zużycia mydła, co zazwyczaj bierzemy pod uwagę przy określeniu stopnia cywilizacji danego społeczeństwa. Jeśli współżycie czytelnika z literaturą można nazwać małżeństwem, w znacznej ilości wypadków jest to matrimonium non consumatum.

Pytam nie dla samej retoryki. Chodzi mi o ustalenie rezultatów tego partnerstwa, które następuje między piszącym a czytającym. Kiedyś, kiedyś — co mogę wspomnieć na tyle na ile mi moja skleroza pozwala — w imię Tuwima czy Morcinka staczało się bójki na dużej przerwie, starsi panowie snobowali się na pełne ciągi Conrada czy Stendhala za szkłami swoich biblioteczek, giełda czytelnicza lansowała pisarzy miesięcy czy nawet tygodni. Sergiusz Piasecki — świetlisty meteor na firmamencie ówczesnej czytelniczej uwagi.

Jakże mniej prosto przedstawia się ta korelacja dzisiaj. Oczywiście — mniej prosto w analogii do całej masy innych zjawisk naszej współczesności, która obrasta paradoksami jak morskie dno wapniem koralowców. Ze nie odsłonisz. I nie wiadomo, co przyczyniłoby się tu do wyjaśnienia obrazu: wyjście z impasu trudności papierowych i poligraficznych, co spowodowałoby taką podaż książek, że wolny rynek czytelniczy, a więc i jego wpływ na literaturę z łatwością wykazałyby swą skuteczność? Zgalwanizowanie martwej od dawna, pantoflowej poczty czytelniczej niosącej opinie literackie choćby ograniczone, choćby snobistyczne, ale czynnie wkraczające w orbitę życia społeczno-towarzyskiego? Można powątpiewać w skuteczność tych cudownych remediów. Cudownych, bo nie mieszczących się w układzie realiów spotykanych codziennie. W rzeczywistości mamy zjawisko takie (można nie wypada o tym pisać akurat po Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy), że na spotkaniu autorskim, a więc w okolicznościach maksymalnie ułatwionych odbiorcy, publiczność wykazuje klasę w przedmiocie starań zmierzających do półtoragodzinnego zamaskowania jej desinteressement imprezą, tematem, prelegentem. Winić ją za to? Ha, Voltaire protestował przeciw trzęsieniu ziemi w Lizbonie. Z takim samym skutkiem można oburzać się na „obojętność" dzisiejszego odbiorcy (czy in spe odbiorcy) kultury, ponieważ w jednym i w drugim wypadku czynniki są obiektywne i wyrosłe z podglebia samej rzeczywistości. Tam — tektonicznego, tu — cywilizacyjnego.

(A propos: dlaczego taka długa nazwa majowej imprezy? W przeszłości owe „oświata", „książka" i „prasa" uwidocznione w jej tytule mogły istnieć oddzielnie, ponieważ są pojęciami logicznie równorzędnymi. Teraz, kiedy na początku stawiamy „kulturę" wymienienie ich jest zbyteczne, ponieważ zarówno oświata, jak książka, jak i prasa w pojęciu kultury się mieszczą. Nie mówimy np. mieszkanie i trzy pokoje).

I wcale nie rozwiąże sprawy postulat wzmożenia dydaktycznej, pedagogicznej, czy tylko partnerskiej funkcji literatury. Historia wykazuje, że w okresach, kiedy literatura (co widać szczególnie w przypadku poezji) „schodziła" ku czytelnikowi opuszczając swój „Parnas", doznawała porażki. Porażki, jeśli chodzi o jej wartość i jeśli chodzi o oddziaływanie na społeczeństwo. Bo zazwyczaj wychodziło na jaw, że ów Parnas był wieżą z kości słoniowej a „zwrot ku ludowi" praktyką miałkiego przerabiania treści odziedziczonych po przodkach. Co więc literaturze proponować? Sandauer raczy wiedzieć. Jeśli zaś chodzi o piszącego te słowa, to nie wierzy, by powstała możliwość jej sprzężenia zwrotnego z czytelnikiem na optymalną modłę dziewiętnastowieczną. (Dodajmy: Peiper twierdził, że wiek dziewiętnasty trwał do pierwszej wojny światowej; sprostujmy — do drugiej). Nie dlatego, że zasłuchana w swoje monologi wewnętrzne owego czytelnika za mało dostrzega. Nie dlatego, że wymaga od siebie za mało wartości artystycznych. Nie dlatego nawet, że zainteresowanie dzisiejszego snoba (owego „kulturotwórczego") przewekslowało się w kierunku pogoni za wysokim standardem życia. Dlatego że — uwaga, proszę o sprzeciw — literatura w ogóle się kończy. A przynajmniej kończy się jej postać „kanoniczna", „klasyczna", „solidna". Napiera scenariusz filmowy jako autonomiczny gatunek (nie jako materiał do filmowej realizacji), napiera coś, co można by nazwać fikcyjnym reportażem, napiera collage różnorodnych fragmentów, spośród których nie wykluczony jest tekst autentycznej notatki prasowej.

Lepiej to? Gorzej? Nie ma sądu, który rozstrzygnie to pytanie, orzeknie o winie i nałoży karę. Raczej przyjąć należy za dowiedzione ciągiem ewidentnych zjawisk, że jest to samoobrona literatury przed kompletnym zanikiem. Albo będzie scenariuszem, albo nie będzie wcale. I tu właśnie wyraził się wpływ instancji czytelniczej tak indolentnej w percepcji innych, bardziej tradycyjnych form literatury, a tak prawem bezwładu czynnej w dziedzinie formowania jej wynaturzeń.

Oczywiście, że żadne szlochy tu nie pomogą, ani nawet nie są potrzebne. W twórczości jak w buchalterii — liczą się fakty. Faktem jest, że współzależność pisarz — odbiorco układa się dziś na innej płaszczyźnie niż wczoraj, a nie wiemy, na jakiej płaszczyźnie ułoży się w epoce ludzi ubranych obcisle i na biało z laserowymi pistoletami (choćby nawet nie spotkali ludzi zielonych). W każdym razie w sferze paradoksów pozostaje kwestia: skoro tyle książek od razu znika z półek księgarskich, dlaczego nie można mówić o wysokiej kulturze literackiej społeczeństwa? Skoro jest tak mało widocznego zainteresowania literaturą po licha te ogonki przy ladach domów książki? Skoro publiczność nie akcentuje swojej obecności w grze postaw twórczych, mecenasowskich, kibicowskich, dlaczego literatura w znacznej części przybiera postać pop-literatury? Właściwie to nawet nie ma pewności, czy właśnie te podmioty należy widzieć w poruszonej sprawie. Czy nie zachodzi tu zjawisko skutkowania mechanizmów rządzących życiem społecznym, które nie socjologia, ale jakaś para-socjologia, powinna wziąć na warsztat? Jakiś Toffler, jakiś Fromm. Jeśli nie wprost Ditfurth współczesnej kultury.

Zadziwiające, jak teoria naukowa, jak refleksja humanistyczna odchodzą coraz bardziej od warsztatów ściśle profesjonalnych w kierunku badań interdyscyplinarnych. Oczywiście, że powoduje to postępująca ko.plikacja świata, ale czy nie wyraża się w tym votum nieufności wobec nauki? Wobec postawy badawczej made in Kant, Freud, Poincare? Bergson — laureat Nobla w dziedzinie literatury! — to zapoczątkował i już dziś filozof jest bardziej publicystą, a nawet działaczem, aniżeli badaczem zamkniętym w czterech ścianach swojej pracowni. Tak samo modyfikuje się status pisarza transmutują stosunki zachodzące na styku twórczości z odbiorem. (Co specjalnie widać w dziedzinie awangardowego teatru, w którym publiczność do tego stopnia jest traktowana jako składnik widowiska, że zachodzi konieczność interwencji organów porządkowych, a następnie rozprawy sądowej).

Ale w końcu biedny czytelniku! Czy oskarżać cię o tendencje spadkowe współczesnej literatury? Wszechmocny czytelniku! Czy przypisywać ci wpływ na jej stylistyczne przemiany? W każdym razie zachodzi zjawisko niewyraźne. Ani literatura nie samookreśla się wobec swojego odbiorcy, ani odbiorca wobec niej. Na zewnątrz wszystko idzie normalnym trybem: dystrybucja się odbywa, handel się odbywa, statystyki się wypełniają, tylko... nie dochodzi do nieporozumień. Do których w każdej normalnej, a nawet kochającej się rodzinie powinno dochodzić. Czy jest aż tak dobrze, tj. wszystkie sporne sprawy zostały załatwione, czy aż tak źle, tj. jesteśmy świadkami tak daleko posuniętej wzajemnej obojętności? Kiedyś — o ile zdołam przypomnieć — czytelnik książkę pisał. Swoim znanym autorowi gustem, wymaganiem, oczekiwaniem. Dzisiaj pisze ją tylko pieniądzem. Wydatkowanym w kasie Domu Książki. Ale czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie? Bardzo prawdopodobne, że to coś — na odczepnego.

PO OGÓLNOPOLSKIM SPOTKANIU TWÓRCÓW I DZIAŁACZY AMATORSKIEGO RUCHU ARTYSTYCZNEGO

PRZED rozpoczęciem obrad komisji problemowej, zajmującej się w czasie Ogólnopolskiego Spotkania Twórców i Działaczy Amatorskiego Ruchu Artystycznego sprawami filmu amatorskiego, wyświetlono dwa krótkie filmy. Obydwa były dziełem Amatorskiego Klubu Filmowego „Zdrowie", działającego przy ZOZ w Lubartowie. Pierwszy nosił tytuł „Minęło lat 38" i był „dokumentem" sięgającym do początków okupacji. Realizatorzy postanowili pokazać jeden z tragicznych epizodów historii miejscowości Kamionka koło Lubartowa, kiedy to 15 listopada 1939 r. gestapo zaaresztowało 16 mieszkańców osady. Zostali oni następnie wywiezieni do Lublina, gdzie na początku 1940 r. niemal wszyscy zginęli od kul plutonu egzekucyjnego. Uratowała się tylko jedna osoba. Wśród owych piętnastu zabitych za to, że byli Polakami, znajdowali się liczni przedstawiciele miejscowej inteligencji: nauczyciele, aptekarz oraz wieloletni działacz kulturalny na tym terenie, kierownik miejscowej szkoły podstawowej Wincenty Cyfrowicz.

Po trzydziestu ośmiu latach filmowcy-amatorzy z Lubartowa odwiedzają Kamionkę, rodziny rozstrzelanych, idą śladami czarnego policyjnego autobusu, który w połowie listopada 1939 r. powiózł aresztowanych w stronę Lubartowa i dalej, na Zamek Lubelski. Komentarz spoza kadru nakłada się na dzisiejszy obraz Kamionki. Zdjęciom promenujących po głównej arterii Kamionki matek z dziećmi towarzyszy niesamowita — w zestawieniu z dzisiejszym, sielskim spokojem — opowieść o tym, co się w tych samych miejscach działo przed laty. Wreszcie kamera wkracza do domu pani Cyfrowiczowej. Oglądamy dokumenty sprzed lat i na koniec ostatni z nich, list z 5 stycznia 1940 r., pisany przez Wincentego Cyfrowicza do żony, na dzień przed rozstrzelaniem...

Drugi film — „Hobby pani Ireny", jest jakby uzupełnieniem pierwszego. Pokazuje Irenę Cyfrowiczową przy starym warsztacie tkackim, a jeszcze wcześniej, przy kołowrotku, przędącą grubą, silną nić, z której następnie na krosnach będzie tkała piękne chusty, kilimki, sukienki.

Tak w niezamierzony sposób powstaje z owych dwóch filmów opowieść o kobiecie, prowincjonalnej nauczycielce, wnuczce powstańca z 1863 r., żonie rozstrzelanego przez hitlerowców polskiego inteligenta, która nie dała się złamać przeciwnościom życiowym. Teraz, pod koniec życia, nadal wysnuwa barwną przędzę, nadal przechowuje z pietyzmem patriotyczne wydawnictwa będące podstawą bibliotecznych zbiorów jej męża. Te dwa, utrwalone na filmowej taśmie, obrazki z życia pani Ireny Cyfrowiczowej mają walor wielkiego uogólnienia.

Filmy amatorów z Lubartowa przede wszystkim jednak mają nieocenioną wartość dokumentacyjną. Ukazują nie tylko ludzi wpisanych w historię, ale również dokumentują i eksponują fragment historii. Zawodowy badacz naszych dziejów najnowszych poświęciłby pewnie okupacyjnemu incydentowi z Kamionki kilka zdań. Reportażysta — może nigdy by nie wpadł na trop rodziny Cyfrowiczów. Trzeba było dopiero filmowców-amatorów, ludzi myszkujących po okolicy, w której żyją i pracują, aby kamionkowską historię z lat okupacji wydobyć na światło dzienne, wyeksponować tak, jak na to zasługuje.

Jest wreszcie kolejny walor owej filmowej działalności. Jej wydźwięk publicystyczny. W ostatnich partiach filmu „Minęło lat 38" pokazano jak kilkuletnia prawnuczka Wincentego Cyfrowicza zapala znicz u stóp pomnika ku czci ofiar okupacji, pomnika stojącego w Lublinie. I potem jest cięcie montażowe i wymowny najazd kamery na samotne, trochę zagubione wśród zieleni drzewko: niewielki dąb, zasadzony kiedyś przez harcerzy w Kamionce, dla upamiętnienia męczeńskiej śmierci obywateli ich osady.

Oczywiście, można filmom amatorów z Lubartowa zarzucić bardzo wiele, jeżeli chodzi o stronę techniczną, można się wybrzydzać nad sposobem prowadzenia narracji czy komponowania kadru. Ale nie można im zarzucać jednego: braku zaangażowania w sprawy terenu, na jakim żyją, i wrażliwości na sprawy naszego patriotycznego rodowodu. Może bardziej dopracowany, lepiej zmontowany, opatrzony komentarzem film „Minęło lat 38" mógłby być — mimo wszelkich swych niedostatków — istotną pozycją jakiegoś telewizyjnego „okienka" prezentującego filmy amatorskie? Właśnie ze względu na swoje walory poznawcze.

Niestety, o tego rodzaju emisjach telewizyjnych głucho jak Polska długa i szeroka. Swego czasu telewizyjny ośrodek katowicki prezentował w sposób cykliczny najciekawsze filmy amatorskie. Potem to się nagle urwało i od owego czasu właściwie niewiele wiadomo na temat amatorskiego ruchu filmowego.

Zorganizowane 18 maja w Lublinie, kontynuujące swe obrady następnego dnia w Chełmie — Ogólnopolskie Spotkanie Twórców i Działaczy Amatorskiego Ruchu Artystycznego, pierwsze tego rodzaju spotkanie w Polsce Ludowej, odbywające się z udziałem przedstawicieli najwyższych władz: ministra Kultury i Sztuki Zygmunta Najdowskiego i zastępcy kierownika Wydziału Kultury KC PZPR Krzysztofa Kostyrki — miało na celu podsumowanie dorobku ruchu amatorskiego w okresie 35-lecia PRL oraz wytyczenie kierunków działania na przyszłość.

Obok obrad plenarnych szczególną wartość posiadały obrady w siedmiu komisjach problemowych: teatru, filmu, muzyki, plastyki, fotografii, tańca i folkloru.

Ze wszystkich wyżej wymienionych dziedzin ruchu amatorskiego działalność amatorów-filmowców jest chyba ogółowi społeczeństwa najmniej znana. Szczególnie teatr amatorski i ruch folklorystyczny potrafiły sobie zdobyć odpowiednią pozycję, co zresztą wynika między innymi ze wspaniałych, wieloletnich tradycji. Nie mniej szeroko rozprzestrzenił się amatorski ruch muzyczny i plastyczny. Są to dziedziny artystycznych zainteresowań, z którymi spotykamy się na co dzień: na estradach, na często organizowanych wystawach, w kinie, w radio i telewizji. Amatorskie zespoły estradowe, teatralne czy folklorystyczne wrosły na dobre w kulturalne życie kraju. Często uzupełniają działalność artystycznych zespołów zawodowych lub wręcz je zastępują.

Szczególnie różnica zaciera się w przypadku muzyków, artystów estrady czy niektórych zespołów folklorystycznych. W pewnym momencie piosenkarzowi Szczepanikowi czy wykonawcy piosenek autorskich Grześkowiakowi — jeszcze studentom — wystarczyło stanąć do raczej formalnego egzaminu przed komisją kwalifikacyjną, aby

Mieć albo nie mieć filmu amatorskiego

Mirosław Derecki

„zrobić uprawnienia" i stać się artystą zawodowym. Gdzie przebiega granica między amatorskością i zawodowstwem muzyków jazzowych, grup pop-music czy niektórych zespołów folklorystycznych? Na pewnym etapie rozwoju talentu granica owa staje się płynna i w efekcie rzecz kończy się zazwyczaj przejściem zdolnego amatora na profesjonalizm.

Ten sam problem występuje, oczywiście, i w amatorskim ruchu filmowym. Był on i jest zagłębiem, z którego może czerpać kadry film profesjonalny. Krzysztof Zanussi, Ryszard Czekała, Walerian Borowczyk, Andrzej Trzos-Rastawiecki byli najpierw właśnie filmowcami-amatorami.

W niedawno wydanej książce „Rozmowy o filmie amatorskim", będącej zbiorem szkiców zamieszczonych na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w miesięczniku „Fotografia", autor Krzysztof Zanussi pisze w przedmowie m. in.: „W mojej własnej zawodowej pracy doświadczenia z lat amatorskich przydały się wielokrotnie — przypuszczam nawet, że okazały się istotniejsze niż wszystko, co później zdobyłem na studiach filmowych. Najważniejsze ze zdobytych doświadczeń dotyczyło, jak mi się dziś wydaje, poczucie samodzielności — zarówno w sferze kryteriów i ocen jak i w samej konkretnej pracy. Amator jeszcze mniej niż zawodowiec może liczyć na to, że jakieś środowisko stworzy mu system wartości i ocen — musi więc tworzyć je sam i konfrontować ostrożnie — świadom od samego początku ich względności — musi więc tworzyć na własny użytek wiele pomysłów samodzielnych i niezależnych. Poddany mniejszej presji środowiska niż zawodowy artysta ma szanse na oryginalność i autentyczność swojej wypowiedzi".

Te uwagi Krzysztofa Zanussiego zostaną już wkrótce skonfrontowane w sposób nader spektakularny z perypetiami bohatera powstającego właśnie fabularnego filmu Krzysztofa Kieślowskiego „Amator" z Jerzym Stuhrem w głównej roli, ukazującego środowisko filmowców-amatorów, i proces dojrzewania poprzez swoje hobby, stające się następnie życiową potrzebą bohatera — pracownika administracji w jednym z zakładów przemysłowych. Wtedy też może, dzięki temu par excellence zawodowemu filmowi, znajdzie się w ściślejszym kręgu uwagi film amatorski.

Jak się już rzekło, film amatorski jest zagłębiem, z którego może czerpać — i niejednokrotnie czerpie — kadry film zawodowy: kinowy i telewizyjny. Ale to raczej sami amatorzy prą w niektórych przypadkach ku zawodowstwu. „Zagłębie" pozostaje nadal mało dostrzegane przez nasze środowisko filmowe.

Amatorzy mają swoje doroczne festiwale — konkursy; najważniejsze to OKFA — Ogólnopolski Konkurs Filmów Amatorskich kręconych na „szesnastce" (taśmie o szerokości 16 mm) oraz konkurs w Polanicy, grupujący amatorów kręcących na „ósemce". Nawet te największe imprezy filmu amatorskiego są dość pobieżnie tylko odnotowywane przez prasę. Rzadko sprawy filmu amatorskiego i Federacji Amatorskich Klubów Filmowych są podejmowane przez profesjonalną prasę filmową.

Faktem jest, że w odróżnieniu od szeregu innych dyscyplin twórczości nieprofesjonalnej amatorski ruch filmowy cierpi na ogromny brak kadry instruktorskiej, na brak sprzętu — szczególnie stołów montażowych. Zabawa w film jest kosztowna. Odpowiednie warunki może stworzyć tylko bogaty mecenas. Nic więc dziwnego, że spośród 260 klubów stowarzyszonych w Federacji najbardziej aktywne i mogące poszczycić się najwyższymi osiągnięciami są te, które pracują pod opieką wielkich zakładów przemysłowych czy kopalń. Stąd też najwięcej klubów w rejonach wysoko uprzemysłowionych, a najmniej na wsi — zaledwie 23. Skądinąd wieś — jak dotąd — nie dąży ku filmowi amatorskiemu. Po prostu nie ma tutaj tradycji kina.

Brak sprzętu — przy oczywistym powiązaniu filmu z techniką — jest słabością filmowego ruchu amatorskiego. Ale równie silnym jego mankamentem jest wytykany, i przez Zanussiego i przez innych obserwatorów, brak zainteresowania przez ogół amatorów-filmowców sprawami sztuki filmowej. Do nielicznych należą AKF-y współpracujące z Dyskusyjnymi Klubami Filmowymi. Jest paradoksem, że o kinie najrzadziej dyskutują filmowcy-amatorzy. Więcej: wśród wielu z nich wiedza o filmie jako sztuce jest prawie żadna. Bardzo niewielu filmowców-amatorów poświęca się zgłębieniu dyscyplin wiedzy, bez których znajomości niepodobna dzisiaj tworzyć dzieła filmowe: plastyki, historii sztuki, muzyki, wiedzy o teatrze, psychologii, historii, polityki... Wynika to m. in. z ogromnego zróżnicowania tego ruchu, który pociąga zarówno ludzi o aspiracjach artystycznych, jak i czysto technicznych, podczas gdy kino w swej istocie jest jednością wyrastającą z tych dwóch elementów.

Jest wreszcie filmowy ruch amatorski rozbity na szereg dyscyplin — zależnie od fascynacji poszczególnych klubów i poszczególnych ich członków — od kronik i filmów dokumentalnych poprzez film animowany (ten robiony nierzadko przez plastyków profesjonalistów odnosi autentyczne, wysoce artystyczne sukcesy nie tylko na gruncie krajowym), aż po najtrudniejszą dziedzinę: po najmniej u nas sukcesów mogący odnotować film fabularny.

Chyba najbardziej sprawdził się wśród amatorów film dokumentalny. Zwrócenia uwagi właśnie na walor dokumentacyjny, „na dokumentowanie zjawisk szybko i bezpowrotnie przemijających, jak na przykład zwyczaje i obrzędy ludowe" oczekuje od filmowców-amatorów resort kultury i sztuki. Ciekawa i godna naśladowania jest działalność jednego z wrocławskich amatorów zajmującego się filmową dokumentacją zabytków sztuki. Jak wyprowadzić amatorski ruch filmowy na szersze wody?

W czasie obrad komisji filmowej na ostatnim Spotkaniu Twórców i Działaczy Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Lublinie i w Chełmie padło szereg postulatów, wśród których najważniejszymi wydają się: sprawa zorganizowania szkolenia technicznego i estetycznego w kulturowych centrach regionalnych (najlepiej w WDK-ach), zorganizowania tamże specjalnych studiów wyposażonych w odpowiedni sprzęt, gdzie amator miałby szansę właściwego, ostatecznego dopracowania swojego filmu pod względem technicznym.

Bardzo istotny wydaje się pomysł stworzenia przy wojewódzkich domach kultury specjalnych kin „studyjnych", prezentujących filmy amatorskie z całego kraju (wtedy trud amatorów i materiał filmowy przez nich stworzony miałby nareszcie jakieś realne szanse rozpowszechniania) i wreszcie — wznowienia w telewizji „okienka" filmu amatorskiego.

Ostatni postulat — wyjątkowo słuszny. Tym więcej, że tak bardzo rozrastający się swego czasu amatorski ruch filmowy zaczyna słabnąć; chodzi też o zdobywanie nowych zwolenników z kręgów młodzieży. Wprawdzie dzisiaj jest zarejestrowanych w Federacji — 260 klubów, ale ile ich działa naprawdę aktywnie, a ile wchodzi do statystyki jedynie na zasadzie opłacania składek?

W województwie lubelskim sytuacja jest przynajmniej jasna — pozostały tutaj i prowadzą wymierną działalność jedynie dwa kluby: w Poniatowej i w Lubartowie.

W ROKU 1980 Zamość będzie obchodził jubileusz 400-lecia. Wydarzeniu temu nadana została ogólnopolska ranga, czego wyrazem jest specjalna Uchwała Rządu. Zamość w ciągu czterech wieków zawsze był znaczącym ośrodkiem kultury w Polsce, tu mieszkali i tworzyli wybitni humaniści, poeci, muzycy, malarze i organizatorzy kultury. Niniejszy artykuł ma na celu przypomnieć ich sylwetki i rolę, jaką odegrali dla rozwoju kultury polskiej.

Już założyciel Zamościa Jan Zamoyski — mąż stanu, wódz, twórca potężnej fortuny, był jednocześnie wielkim miłośnikiem nauki, kultury i sztuki. Ten fakt zadecydował na przeciąg wielu lat o charakterze miasta. Grono ludzi skupionych wokół dworu kanclerskiego, a później i Akademii Zamojskiej, uczyniło Zamość liczącym się w Europie na przełomie XVI i XVII wieku ośrodkiem kultury humanistycznej w Polsce.

W momencie lokowania Zamoyski świadomie wyznaczył miastu rolę dzieła sztuki, angażując ze znakomitym wyczuciem nieznanego szerzej Włocha Bernarda Morando. Morando stał się autorem układu urbanistycznego będącego jedną z najwybitniejszych realizacji tego typu w sztuce europejskiej, projektantem i budowniczym kolegiaty, pałacu, arsenału, ratusza i kilku kamienic wzorcowych. Jasna, harmonijna architektura łącząca cechy włoskiego i polskiego renesansu stała się w Zamościu synonimem subtelnego smaku artystycznego.

Drugą wielką indywidualnością tego okresu był Szymon Szymonowic, czołowy poeta polskiego Odrodzenia, autor należących do perel naszej poezji „Sielanek", drukowanych w Zamościu i znanych poza granicami kraju wierszy łacińskich, nadto znawca kultury antycznej i filolog. Największe zasługi dla Zamościa położył Szymonowic przede wszystkim jako twórca i organizator Akademii i drukarni. Dzięki jego staraniom przybyli do Zamościa światli, wszechstronnie wykształceni humaniści.

Ozdobą grona profesorskiego był uczony, filozof Adam Burski, m. in. autor dzieła „Dialectica Ciceronis" (1604) największego osiągnięcia filologii klasycznej tego wieku w Polsce i książek poświęconych rodowi Zamoyskich. Wielkimi indywidualnościami byli jeszcze: Szymon Birkowski — logik i tłumacz wielu dzieł greckich i łacińskich, Jan Niedźwiedzki (Ursinus) — matematyk, lekarz i filolog, Tomasz Drezner — autor głośnych dzieł prawniczych i historyk.

Atmosfera ówczesnego Zamościa promieniowała również na niwie edytorskiej. Pierwszym typografem zamojskim był Marcin Lęski. Z jego oficyny wychodziły publikacje zamojskie przez prawie 20 lat. Prawdziwe arcydzieła edytorskie porównywane z najpiękniejszymi wydawnictwami tamtych lat powstały pod kierunkiem Jana Rutkowskiego i Teodora Lubowskiego w końcu XVII wieku.

Z dłużej lub krócej przebywających w Zamościu w najbliższym otoczeniu Zamoyskiego znaczną sławę na polu literatury zyskali także: Sebastian Klonowic — głośny poeta mieszczański, kierownik szkoły zamojskiej i autor pierwszego rymowanego opisu Zamościa, Piotr Ciekliński — zaufany kanclerza i pierwszy komediopisarz polski, autor „Potrójnego z Plauta", Reinhold Heidenstein — najwybitniejszy historyk czasów Batorego i biograf Zamoyskiego, Jan Szczęsny Herbart — humanista, poeta (służył radą i pomocą przy zakładaniu Akademii i sprowadzaniu do niej ksiąg).

Na usługach dworu pozostawali malarze-portreciści: Krzysztof Bystrzycki i Jan Kosiński. Ich wysoką pozycję społeczną potwierdza fakt, że byli właścicielami kamienic w Rynku Wielkim. W Zamościu istniała także kapela dworska. Jednocześnie w korespondencjach i rachunkach hetmana pojawiają się nazwiska wszystkich trzech najwybitniejszych lutnistów-kompozytorów tego okresu: Mikołaja Gomółki, Wojciecha Długoraja i Krzysztofa Klabona. Zamość stał się także centrum życia teatralnego. Z inicjatywy Jana Zamoyskiego, „Sebiepana", w pałacu zamojskim pokazywano wybitne spektakle teatralne: „Cyda" Corneille'a w tłumaczeniu A. Morsztyna (1660) oraz pierwszego polskiego dramatu politycznego nieznanego autora „Polska napadnięta przez Szwedy" (1663).

Na przestrzeni XVII i XVIII wieku największą rolę wśród nadwornych artystów odgrywali architekci. Miasto Moranda wzbogacili szeregiem okazałych barokowych budowli: Jan Jaroszewicz, Jan Wolff, Jan Michał Link, Jerzy de Kawe, Andrzej Bem a później Henryk Ittar. W tym czasie zamojskim pokazywano wybitne spektakle teatralne: „Cyda" Corneille'a w tłumaczeniu A. Morsztyna (1660) oraz pierwszego polskiego dramatu politycznego nieznanego autora „Polska napadnięta przez Szwedy" (1663).

Na przestrzeni XVII i XVIII wieku największą rolę wśród nadwornych artystów odgrywali architekci. Miasto Moranda wzbogacili szeregiem okazałych barokowych budowli: Jan Jaroszewicz, Jan Wolff, Jan Michał Link, Jerzy de Kawe, Andrzej Bem a później Henryk Ittar. W tym czasie powstały m. in. nowe schody przed Pałacem.

Zamość zasłynął także jako miasto kronikarzy kreślących panoramę życia codziennego nieprzerwanie od 1652 do 1726 roku, kolejno mieszczanina Jana Golliusza, zarządcy dworu Floriana Truszkowskiego, profesora i patrycjusza Bazylego Rudomicza i Zachariasza Arakielowicza. Do najwybitniejszych przedstawicieli gminy ormiańskiej należał Symeon Lehaci — kronikarz i podróżnik, który zostawił interesujące „Zapiski" podróży po Europie i Bliskim Wschodzie.

W 1740 r. zamościanie mieli okazję obejrzeć publiczną wystawę obrazów zorganizowaną przez Pietra Parysa, nadwornego malarza Wiśniowieckich. Ekspozycję liczącą kilkaset obrazów obejrzeli jeszcze mieszkańcy Warszawy, Lwowa i Lublina.

Najwybitniejszą indywidualnością zamojską XVIII wieku był Stanisław Duńczewski, profesor Akademii, matematyk i astronom, znany szczególnie jako wydawca bardzo popularnego „Kalendarza Polskiego i Ruskiego". Za

Tradycje zamojskiej kultury

Jan Wojnowicz

OPERACJA RYNEK

Dokończenie ze str. 1

ponderabiliów, które towarzyszą odbudowie Zamku Królewskiego. Czasami w dzienniku telewizyjnym przedstawiani są ludzie, którzy po latach z dumą pokazują reporterowi jakiś fragment ulicy, obiekt budowany przez siebie. Co powie kiedyś o swoim udziale w renowacji młody człowiek, zdarzało się, pół i więcej dnia spędzający na parapecie okna kamienicy Staszica 19 z radiem tranzystorowym? Przynajmniej nie przeszkadzał. Inny w oczekiwaniu na 400-lecie zabawiał się, ot tak sobie, wyrzucając łopatą z trzeciego piętra na Plac Mickiewicza, gruz, który dolatując do ziemi tworzył tuman suchego pyłu, sięgającego tegoż trzeciego piętra.

Zamościanie patrzą i płoczą. Cierpi na tym dobre imię dziesiątków fachowców, dzięki którym odkrywane są na nowo urocze podwórza, odświeżane przepyszne portale, urządzane kameralne wnętrza sklepowe, wreszcie tych, którzy wyczarowują drewniane i kamienne detale architektoniczne w pracowniach. Smak, dobre rzemiosło to nie wszystko. „Dom [illegible] — maleńka kamieniczka dwupiętrowa. Aż miło wejść. Tak tam [illegible]ięcznie i przemyślnie wszystko urządzono. I sień z gotyckim sklepieniem i jakieś patio. [...] Ktoś nie zadbał do samego końca — jak u nas często: w [illegible]u świeci gołą żarówka, jakieś kable zwisają półkolistym łukiem". — pisze Kóźniewski o jednej z 600 zabytkowych kamienic Krakowa. Podobnie pisać można o każdej ze stu kilkudziesięciu kolejno odnawianych kamieniczek w Zamościu. Niesolidność wykonawcy materializująca się w zielonkawej wodzie zatkanego kanału, urwanej rynnie, pozaciekanej ścianie to jedno, zaś niefrasobliwość użytkownika to drugie. Może tak wykorzystywano niegdyś „zaplecza kupieckie" (termin stworzony przez zamojskich przewodników) — zastanawiają się turyści, widząc zalegające sterty kartonów, skrzyń dajmy na to apteki...

Najpiękniejsze obecnie wnętrza handlowe po renowacji zajmuje „Jubiler". Przytłumione światło dyskretnie harmonizuje z jasnym, przeszklonym wystrojem pomieszczenia, w znacznej części wypełnionego ...monstrualnym pudłem ustawionym pod nieskazitelnie białą ścianą! Jednocześnie taki „Herbapol", z równie pięknym, wykonanym w jasnym drzewie wyposażeniem, z olbrzymimi pękami zielska w wazonach, z iście zaskakującą czystością, odurzającym aromatem, gdzie nawet klient traktowany jest ze staroświeckimi atencjami, to nieomal współczesna wizja fantasmagorycznych „sklepów cynamonowych". Trochę dalej, za wejściem do PKZ mocno obtłuczone, masywne obramienia okienne, z ciosu, więc możliwe do „naprawienia" tylko przez wymianę całego parapetu; obok manierystyczny portal nie tak dawno ślicznie odnowiony i prawie natychmiast czymś ciemnym i tłustym wysmarowany. Zresztą zapraszająco otwarte przez całą noc bramy kuszą także różnego autoramentu nocnych łazików, dobrze, jeśli poprzestających na wypiciu butelki wina, z jej rozbiciem bądź przewróceniem pojemnika ze śmieciami włącznie. Gorzej, gdy na drugi dzień tu i ówdzie brak żarówki, gniazdka, ze ściany odstaje zerwany kabel... Kiedyś mógł stać na straży każdej bramy groźny cieć. Dzisiaj ich role przejęły solidne kłódki, których brak...

Powróćmy jeszcze na Rynek Wielki (mimo całego szacunku dla mistrza Adama, należy chyba szybko przywrócić tę ustaloną cztery wieki temu nazwę). Owa rozległa gładź budzi kontrowersje. Kibicując „Operacji Rynek" ludzie kręcą nosami — (przecież „zieleń", „środowisko naturalne") i chyba żałują po trosze otwieranego z pierwszymi promieniami wiosennego słońca swoistego Hyde Parku z wodzącymi rej ex-przekupkami i emerytowanymi dorożkarzami. Zasłużony dla Zamościa bez mała przez ćwierć wieku architekt miejski, nieżyjący już Tadeusz Zaremba, zżymał się często i w końcu bezskutecznie: „To ma być włoski renesans? Na włoskim rynku był sam goły kamień, najwyżej fontanna... A tu trawniczki, ławeczki, piaseczek. Panowie, jedno z dwojga: albo piękno starej architektury, albo ogródek jordanowski". Nic ująć. Można najwyżej dodać, a ściślej — spojrzeć na przedwojenne, powojenne nawet, fotografie Rynku i zadziwić się idealnie kwadratowymi skwerami oraz wspomnieć jak je sukcesywnie rozdeptywano w ostatnich latach. „Minione czasy". (Nb. westchnienie to historia przypisuje cesarzowi Józefowi II, który „uświetnił" obchody 200-lecia Zamościa. Na ile jego wizyta miała związek z jubileuszem, trudno powiedzieć, w każdym razie urzeczony pięknem niektórych budowli poczynił miastu szereg ustępstw).

Znaczne obniżenie poziomu niespodziewanie ukazało nawierzchnię Rynku może pamiętającą czasy samego hetmana. Pozostawienie fragmentu autentycznego siedemnastowiecznego czy nawet szesnastowiecznego bruku byłoby bardzo wskazaną, sporą atrakcją turystyczną. Obniżenie poziomu do tychże „kocich łbów": nonsens, nie mniejszy: pozostawienie ich przed schodami — miejscu szczególnym choćby z racji przeszłych i przyszłych lat teatralnych. Kłopotliwy [illegible] Rynku osłonięto, jako że była zima. Można się było spokojnie zastanowić. Zastanawiał się jednocześnie ten i ów mieszkaniec miasta, jak dalece niemożliwe w epoce laserów i komputerów, fotogrametrii i telewizji termicznej, byłoby wydobycie kilkunastu metrów kwadratowych szanownego bruku i umieszczenie go w innej części Rynku (mniej „strategicznej") już na równi z nową nawierzchnią i ze stosowną tablicą w płycie placu. Podobnie z pręgierzem. Przesadnie wyeksponowane szczątki zakłócą elegancję Rynku Wielkiego. Stał prze-

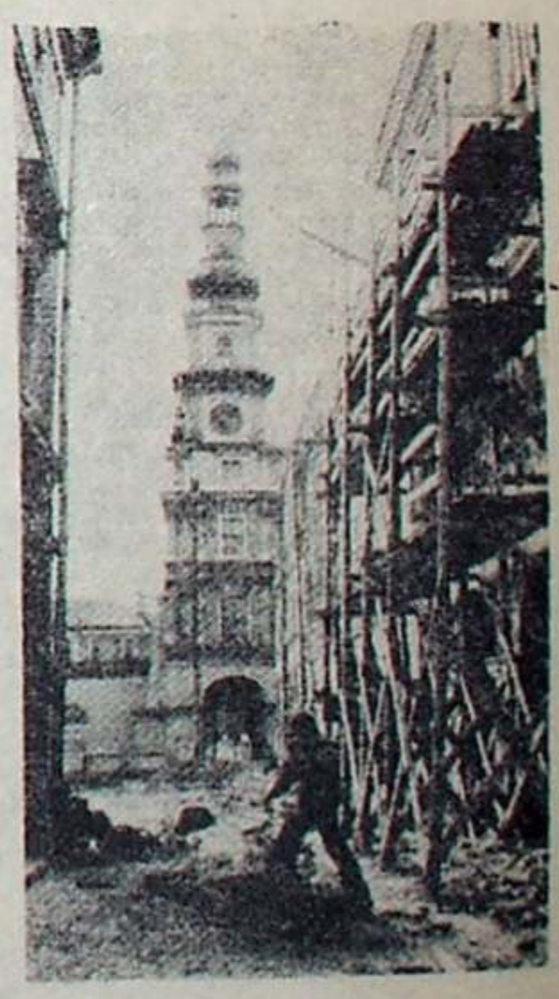

Fot. Jan Trembecki

rządów Andrzeja Zamoyskiego, ex-kanclerza autora postępowego kodeksu pobierał nauki w Akademii znany później przywódca tzw. pseudoklasyków warszawskich Kajetan Koźmian, który w swych „Pamiętnikach" pozostawił barwny opis ówczesnego Zamościa.

Wychowawcą synów Andrzeja był Stanisław Staszic — czołowy przedstawiciel Oświecenia, uczony, społecznik, pisarz polityczny. Ucząc w Akademii Staszic zorganizował bogaty w zbiory gabinet mineralogiczny. Z ówczesnym dworem ordynackim utrzymywali także kontakty znani malarze: Wojniakowski, Lampi i Smuglewicz oraz B. Ittar, który prowadził zajęcia w dali rysunkowej otworzonej przy Szkole Wojewódzkiej. Architekturę wykładał w niej autor wielu rozpraw i wydawca „Dziennika Ekonomicznego Zamoyskiego" — Wojciech Gutkowski. Szkoła Wojewódzka im. Zamoyskich była znakomicie zorganizowaną i wyposażoną uczelnią. W 1811 r. przeniesiono ją z Zamościa do Szczebrzeszyna.

XIX-wieczny Zamość zasłynął jako bohaterska twierdza i najcięższe na ziemiach polskich więzienie. Obrońcami Zamościa w 1831 r. byli dwaj poeci romantyczni — Maurycy Gosławski i Franciszek Kowalski, którzy w pięknych strofach wspominali później oblężenie. Zamość fascynował największych polskich pisarzy (wcześniej opiewał miasto Krasicki i Niemcewicz).

Henryk Sienkiewicz przystępując do pisania Trylogii odwiedził Zamość, aby zapoznać się z topografią terenu przed opisaniem oblężenia twierdzy w „Ogniem i mieczem" i „Potopie". O przeszłości Zamościa mówią obszerne fragmenty powieści Kraszewskiego („Banita", „Bajbuza") i Gąsiorowskiego („Huragan"). Odwiedzali Zamość także dla malowania architektury: Zaleski, Stachowicz i Andriolli, bądź wykonujący zamówienia dla ordynatów: Hadziewicz i Gerson.

Podobnie jak Sienkiewicz, Matejko, Moniuszko „ku pokrzepieniu serc" działała założona pod koniec XIX wieku przez Karola Namysłowskiego orkiestra złożona z podzamojskich chłopów. Wykonując komponowaną przez założyciela muzykę „Namysłowiacy" zasłynęli daleko poza granicami kraju wzruszając i bawiąc w licznych miastach od Chicago do Petersburga.

Odzyskanie niepodległości w 1918 r. spowodowało niespotykany rozkwit życia kulturalnego w Zamościu. Najważniejszym przedsięwzięciem okresu międzywojennego było wskrzeszenie przez Stefana i Zygmunta Pomarańskich zamojskich tradycji wydawniczych, ich staraniem przez kilkanaście lat ukazało się kilkaset publikacji z serią prac naukowo-regionalnych „Biblioteka Zamojska" oraz miesięcznika „Teka Zamojska" na czele. Edytorzy zamojscy pozyskali do współpracy kilkudziesięciu wybitnych humanistów polskich m. in. St. Arnolda, Fr. Bujaka, Br. Chlebowskiego, M. Handelsmana, J. K. Jochanowskiego, J. Kallenbacha, Wł. Konopczyńskiego, St. Lempickiego, J. Siemieńskiego, W. Sobieskiego, K. Sochaniewicza, St. Tomkowicza i St. Zielińskiego. Działalność Pomarańskich (lata 1917—36) podniosła Zamość do roli ważnego w kraju ośrodka kulturalno-oświatowego.

Przez czternaście lat w Zamościu mieszkał i tworzył najoryginalniejszy poeta polski dwudziestolecia — Bolesław Leśmian. W „Domu Centralnym" powstał „Napój cienisty", za który uwieńczono go laurem Akademii Literatury. Przez pewien czas uczył w gimnazjum zamojskim znany poeta futurystyczny — Stanisław Młodożeniec.

W Zamościu zawiązało się także jedno z najczynniejszych w kraju, działające na niwie kulturalnej i bibliofilskiej — Koło Miłośników Książki. W elitarnym gronie 29 bibliofilów polskich odznaczonych orderem Białego Kruka znalazł się Zygmunt Klukowski, największy obok Rosińskiego miłośnik książek o Zamościu. Ten wybitny działacz kulturalny zgromadził i wydał po wojnie wielotomową dokumentację zbrodni hitlerowskich na Zamojszczyźnie, ze znakomitym „Dziennikiem z lat okupacji" na czele.

W powstaniu warszawskim zginął związany z Zamościem czołowy po Baczyńskim i Gajcym młody poeta — Zdzisław Stroiński.

Interesującymi inicjatywami w międzywojennym Zamościu było także powołanie do życia Muzeum Ziemi Zamojskiej w 1926 r., oraz prowadzenie powszechnych wykładów przez profesorów z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie i Politechniki Lwowskiej.

Olbrzymie zniszczenia wojenne Zamojszczyzny dotknęły również kultury. W ciągu 35 lat potencjał ten w znacznej mierze został odbudowany i rozwinięty o nowe inicjatywy. Dziś Zamość znów jest liczącym się ośrodkiem życia kulturalnego, ale to już temat na następny artykuł.

---

też, gdy ratusz nie posiadał jeszcze obecnych schodów. Zresztą i ikonografię ma prawie żadną, jeśli za takową służyć ma obraz „bukowiński". Sprawę idealnie rozwiązałoby dokładne określenie miejsca poprzez wygrawerowanie w płycie napisu. Pomysł nie jest nowy. Ktoś inny obmyśla oświetlenie Starego Miasta lampami sodowymi (słonecznymi — dla ciepłego, złocistego blasku) stosowanymi dotąd tylko na skrzyżowaniach większych miast. Albo... Dość, zagalopowaliśmy się wkraczając w kompetencje specjalistów.

A rocznica tuż, tuż. Nie jest już tajemnicą, iż z szeregiem zaplanowanych prac przyjdzie nie zdążyć. Poniekąd dziwi więc np. „odkrywanie" z całą powagą fundamentów odwachu rozebranego przed ... dziesięciu laty. Tak właściwie to od ukończenia renowacji bloku kamienic z KMPiK (1976), w samym Rynku Wielkim nie przybyła żadna odrestaurowana kamieniczka. Zawarta w tym zdaniu demagogia nie zmienia faktu, iż wielu ludzi tak właśnie widzi postępy przy renowacji. W ubiegłym roku był w Zamościu Krzysztof Kąkolewski. W rozmowie z właściwą sobie ujmującą serdecznością autor „Historii które pisze życie" pytał, czy jest prawdą, że odnawiane są tylko elewacje! Trochę nieswojo przyznawać się, ale jubileuszowe tynkowanie frontonów nie ominie całkowicie Zamościa...

Renowacja to w końcu temat przed — jak i pojubileuszowy. Wiadomo, że całkowite uporanie się z odnowieniem Zamościa pochłonie jeszcze parę ładnych lat. Po Rynku Wielkim przyjdzie czas na Rynek Solny, na najbardziej kubaturowe obiekty — zespół pałacowy, dawną Akademię, gmach pofranciszkański, na maksymalne odtworzenie fortyfikacji, wreszcie „poprawienie" kamienic z pierwszego pionierskiego okresu renowacji. Może nawet odświeży się niektóre kamienice z przełomu XIX i XX wieku, o ile tylko wcześniej przypadkiem nie zostaną zuniformizowane do typowej zabudowy pozarynkowej. Urzędowo jednolite boniowane elewacje narzucone po pożarze Zamościa w roku 1827 czyniąc zabudowę miasta cokolwiek monotonną (choć to na pozór nonsens, „perła renesansu" w połowie stoi tymi dwukondygnacjowymi klasycystycznymi kamieniczkami — trzeba oddać sprawiedliwość — oznaczanymi z reguły najniższą klasą). Secesyjne czy eklektyczne, na swój sposób okazałe domy przy ul. Moranda, Kościuszki, Żeromskiego, Pereca, nie naruszające zasadniczo nakreślonej przez Moranda siatki ulic, nawet jeśli nie mają statusu zabytku, znacznie mniej zakłócają staromiejską zabudowę niż nowoczesne obiekty sprzed kilkunastu lat z hotelem na czele. Szczególne względy należą się kamienicy zw. Domem Centralnym, jeśli nie z uwagi na podważane walory architektoniczne, to dla roli, jaką pełniła przez blisko 70 lat. W niej to przecież zrodziła się najcenniejsza w dwudziestoleciu międzywojennym, a jedna z cenniejszych w ogóle inicjatyw kulturalnych — wydawnictwo Pomarańskich. W niej przez wiele lat zamieszkiwał Leśmian, znajdowała się znana poza granicami województwa restauracja — miejsce „biesiady literackiej" Leśmiana, Czechowicza i Gralewskiego, opisanej przez tego ostatniego, w niej mieścił się komfortowy hotel, najmodniejszy fryzjer, szereg sklepów i instytucji. Trzypiętrowa i ...trójfasadowa „Centralka" powinna więc interesować głównie zamościan. Mimo to przerastająca otoczenie kamienica, z mocno akcentowanymi pionowymi podziałami elewacji fascynuje również przyjezdnych. Na starej pocztówce gmach wygląda jeszcze bardziej okazale, m. in. z attyką zdobioną głowami faunów na osiach okien i licznymi parami rzeźbionych postaci. Dr Waldemar Łysiak — znany ze znakomitej publicystyki w obronie architektury XIX i początku XX wieku — pisze: „Jeśli będziemy chronić tylko średniowieczne i renesansowe układy przestrzenne, ciągi zabudowy, poszczególne budowle, to zaiste niewiele pozostawimy wnukom". Pod hasłem dr. Łysiaka „Po baroku coś jeszcze" podpisuje się podniszczona „Centralka"...

Andrzej Kędziora

Wojciech Roszewski

* * *

Tym, co pragnąłem kiedyś
Zostawić w słowie, był wielogłos wielkich tras
Osaczających mój dom
Syk płonącej trawy, śpiew wyładowanych konwojów
Brzęk metalu o metal
Nocny wiatr niosący zapowiedź radosnej katastrofy
coraz prędzej i prędzej
Gnał mnie głuchodźwięczny oddech mojej młodości
I nie umywałem rąk
Od niczego, co było godne pieszczoty dotyku
Dzieliłem swoje dni
Z kobietami i wróblami ćwierkającymi na progach

Tym, co pragnąłem kiedyś
Zostawić w milczeniu, była cisza daleka ode mnie
Noc oświetlona latarnią
Miasto przeszyte na przestrzał burzą wiosenną
Lękliwy bieg deszczu
Przychylność wszechobecnych ścian, rozbrat ze snem
Coraz dalej i dalej
Wyprowadzał mnie w szczere pole mój ufny wzrok
Z każdym dniem trudniej
Przychodziło mi forsować wędrowne wydmy godzin
Aż osypały się żwirem
Gwałtownie wznieconych, ostatnich już zdumień

Tym, co pragnąłem kiedyś
Zostawić przy drodze, była szorstka glina ciała
Z której mnie ulepiono
Na podobieństwo garncarza, chłopa i nauczyciela
Rubaszny czerep głowy
Kłoniący się do snu w tylu poczekalniach dworcowych
Coraz głośniej i głośniej
Wielkie megafony wzywają mnie na szklane perony
W opóźnionych pociągach
Nie raz i nie dwa przychodzi mi ścigać mój czas
Nie wolno mi go zostawić
Samemu sobie, by rozmył się w słowach lub w ciszy

* * *

Kto słyszał, by od rana
Farny dzwon frymarczył się z fabryczną syreną
Chmury wiszą niziutko
Lświec przelewa się przez betonowe usypiska
Kocie łby zalał asfalt
Moje schronienie ze złocieni i malw zmienione
W dworzec autobusowy
Nikt nie szwabi na zbożu i pierzu, nikt nie troczy
Koni do pala w rynku
Ach, jak lubiłem ich oddech widzialny i namacalny
Dzięki kłębuszkom pary
Dymiącym z brzuchatych i głuchych worków z obrokiem

Siostra Dominika pamięta
Najlepiej te dawne dni i tka na prostych krosnach
Swą białą summa theologiae
Cała moja młodość migoce w wątkach i osnowach
Szarowiśniowych tkanin
Jest nawet kuna przyczajona przed szałasem kurnika
Galopują mali Jadźwingowie
Rośli Szwedzi skradają się przez ociemniałe olszynki
Z zapalonymi głowniami
Piotr z Goniądza łazi po bruku z drewnianym młeczem
Michał Anioł Palloni
Wysoko, tuż pod stropem, maluje błękitny obłok
Mój serdeczny palec
Moja krew, mój puls, moje tętno, moja gorączka
Mój rozbity kamieniem łeb
Mój głos wracający echem, mój spalony o świcie dom
Moja stopa, mój but
Moje kłykcie, mój paznokieć, moje nagniotki
Jak to wszystko nęka
Gdy idąc ocienioną ulicą potykam się o byle co
Gdy jestem przejazdem
W miejscu, z którego nigdy nie umiałem odjechać
U stóp dwóch kościołów
W tchnieniu organów, pod opieką wielkich aniołów

Jak obchodzić rocznice...

Maria Bechczyc-Rudnicka

OGŁOSZENIE przez UNESCO Międzynarodowego Roku Dziecka sygnalizuje chyba przede wszystkim szczególną troskę o pokój, dziecko bowiem jest, rzec można — symbolem wiecznie odnawiającego się życia, któremu cóż zagraża w stopniu większym niż wojna? Witając tedy z aprobatą hasło tegorocznego Dnia Teatru: „Teatr radością dziecka" — nikt przecie nie wysnuje z wezwania Polskiego Ośrodka ITI surrealistycznego wniosku, że sceny nasze, wszędzie — jak kraj długi i szeroki, zamienią się naraz w ogródki jordanowskie. Najbardziej potrzebne dziś światu, rzecz jasna, są i będą dzieła budzące sprzeciw wobec pędu ku celom śmiercionośnym.

Toteż zanim powiem coś niecoś o sporadycznych radościach, jakich doznają dzieci lubelskie na widowniach teatralnych, chciałabym zwrócić uwagę czytelnika na pewne przedstawienie Teatru im. J. Osterwy, które niewątpliwie dobrze służy głęboko pojętej idei wezwania UNESCO. Służy — dowodzeniem od odwrotnego, mianowicie przywołaniem do pamięci okrucieństwa wojny. Służy bezpośrednim podaniem realnego faktu, bez artystowskiego owijania w metafory.

Mówię o monodramie Tadeusza Jasińskiego „Stara kobieta wypłakuje", zrealizowanym przez teatr z myślą o Dniu Zwycięstwa — 9 maja.

Tadeusz Jasiński, pisarz zielonogórski, przeszło od czterech lat członek lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, laureat kilku nagród i wyróżnień, ma w dorobku zbiory opowiadań i reportaży, powieść, słuchowiska radiowe. Ma również dramat pt. „Głosy stamtąd", o którego prapremierę teatry mogą się jeszcze ubiegać. Nie wiem, z jaką recepcją spotkał się zaprezentowany w r. 1968 w Teatrze Ziemi Lubuskiej monodram oparty o niepublikowany tekst Jasińskiego „Pragnę zawrócić czas", ale omawiana tu „Stara kobieta wypłakuje" stała się bezsprzecznym osiągnięciem w zakresie teatru faktu. Przyszłość pokaże, czy dramaturgia, ogromnie kuszący gatunek literacki, jest istotnym powołaniem Tadeusza Jasińskiego.

Znany reżyser Józef Słotwiński powiedział w pewnych rozważaniach (które zostaną wkrótce opublikowane w „większej całości"): „Piszmy prościej dla codziennego użytku, a jeżeli stanie się cud i wyjdzie z czegoś arcydzieło, cześć mu i chwała. Byle nie siadać do pisania arcydzieła. To raczej nie wychodzi."

Święte słowa! I oto wymowny przykład: „Stara kobieta wypłakuje". Proszę przyjrzeć się genezie tego tekstu, który, prezentowany przez teatr jako monodram, wywołuje u wrażliwego widza głębokie wzruszenie i zadumę. Ale oddajmy głos samemu autorowi (cytuję wypowiedź w programie Teatru Osterwy):

„Jak to zwykle bywa w literaturze faktu, samo życie dostarczyło tematu... Zdarzyło się to przed półtora rokiem. Byłem na cmentarzu przy ul. Unickiej w Lublinie. Siedziałem na ławce. Podeszła do mnie stara, wówczas 83-letnia kobieta. Usiadła. Jak wiele osób w tym wieku, lubiła mówić, nie lubiła milczeć będąc obok innego człowieka. Zaczęła więc mówić... o tym, o tamtym. W końcu powiedziała, że była właśnie na grobie swojego syna, Stanisława Sidora, plutonowego Wojska Polskiego, który zginął od ostatniego wystrzału wojny. W Jej głosie było coś przejmującego, coś, co człowiekowi pracującemu w słowie wyostrza uwagę, bo nie jest to zwykłe gadanie starej kobiety, lecz Jej wielka życiowa sprawa: Ona dźwiga w sobie jakąś bardzo ciekawą wiedzę. Mówiła więc o chłopcu, który na terenie Czechosłowacji zginął w ostatnim dniu wojny... Rzecz zdarzyła się 8 maja 1945 roku... Pozyskałem zaufanie tej kobiety i po jakimś czasie umówiłem się z Nią w mieszkaniu Jej syna Jana. Wiele godzin rozmawialiśmy, nagrałem to: tak — bez żadnego mojego słowa — zrodził się utwór pt. „Stara kobieta wypłakuje".

Był to reportaż opublikowany w r. 1977 w „Kamenie", gdzie Tadeusz Jasiński podjął pracę publicysty po przeniesieniu się z Zielonej Góry.

Mówi Jasiński: „bez żadnego mojego słowa" — czyli samo życie. Zapewne tak. Ale powiedział przecie skądinąd: „Wiele godzin rozmawialiśmy". A spektakl trwa zaledwie godzinę. Niechaj więc nas nie zwiedzie skromność autora. Owa różnica w czasie jest bowiem świadectwem jego dobrej pracy publicysty — pisarza, przeprowadzającego wnikliwie selekcję i „uszeregowanie" nagranego materiału, bez przeróbki życia na papier.

Do teatru tekst Tadeusza Jasińskiego poszedł istotnie z pełnym zachowaniem jego autentyzmu. Żadne słowo nie zostało dodane, żadne ujęte. Nie dano nawet żadnej oprawy scenicznej. Ot „po prostu" siadła przy stoliku aktorka i przemieniła się w starą kobietę, która „opłakuje". I stał się cud: reportaż także od razu przemienił się w monodram. I płakała nie tylko stara kobieta, płakali też widzowie. Bo to jest teatr ludzki — dla ludzi.

Na prapremierze, która odbyła się w klubie jednostki wojskowej, ocierali po kryjomu oczy ludzie młodzi — żołnierze.

W postać starej kobiety, poznanej przez Tadeusza Jasińskiego na cmentarzu przy ul. Unickiej i obecnie tam spoczywającej, wcieliła się Maria Szczechówna, związana z Teatrem im. J. Osterwy i ceniona w Lublinie już od lat blisko dwudziestu. Program wymienia szereg jej ról pierwszoplanowych. Osobiście, odnotowałam np. ze szczególną satysfakcją sukces Szczechówny w „Piątej kolumnie" Hemingwaya (r. 1964), gdzie grała egzotyczną Anitę „ladacznicę z zasadami", której postać stała się najbardziej pozytywnym akcentem sztuki. Pamiętam też bardzo trafne pokazanie załamania się Berty w finale „Niemców" Kruczkowskiego, kiedy to na rodzinę Sonnenbruchów spada nieoczekiwany cios...

Reakcja normalnych, wrażliwych widzów na prostą a tragiczną opowieść Starej kobiety — Szczechówny świadczy sama o właściwym pobudzeniu wyobraźni słuchających. Widz zepsuty namolnym badaniem „faktury" pragnąłby może miejscami większej odmiany mimiki, niuansów tonacji... Ale te nieomal imponderabilia na pewno dadzą się odczuć w następnych spektaklach. Może się już zaznaczyły.

Tekst monodramu Jasińskiego o matce i jej dziecku warto by polecić również innym teatrom polskim, a nawet zagranicznym, zwłaszcza tam, gdzie zapominają o ogromie związanych z wojną cierpień ludzkich.

Dobre słowo należy się też Romanowi Kruczkowskiemu za reżyserię ściślej mówiąc — koleżeńską konsultację.

Jedna uwaga — prostująca końcową część komentarza Tadeusza Jasińskiego: tytuł „Stara kobieta wypłakuje" (rozstrzelenie moje) nie będzie dobrym kontrapunktem do „katastrofizmu sztuki Różewicza". Różewicz nie jest katastrofistą, Różewicz ostrzega. Konkretna lubelska stara kobieta opłakuje wszak to, co wysiaduje Stara kobieta — cywilizacja, odkąd zeszła na manowce.

Tyle w nawiasie.

Teraz przyznam się z kolei odważnie, bez kluczenia, że wolę omówiony wyżej „teatr ubogi" faktu od drugiej pozycji Teatru im. J. Osterwy, której premiera odbyła się też w maju, wolą — choć „Wielki mały król", „moralitet" w trzech aktach Joanny Kulmowej zdobył pierwszą nagrodę na zeszłorocznym konkursie z okazji Roku Korczakowskiego i choć wystawiono go na lubelskiej scenie dramatycznej z niemałym namaszczeniem, ba — nawet z „zadęciem".

Spektakl miał bowiem uczynić zadość hasłu „Teatr radością dziecka" tudzież uczcić pamięć niezrównanego Pedagoga — Człowieka, Jana Korczaka. Tymczasem, wydaje mi się — nie spełnił ani pierwszego, ani drugiego zadania należycie.

Oglądałam przedstawienie razem z gromadą dzieci w wieku od lat chyba siedmiu do jedenastu... Nie było radości na widowni. Co zaś do Korczaka, został on w „sennej" wizji J. Kulmowej odsunięty na tylny plan.

A przecie realizację „moralitetu" powierzono nie byle jakim artystom. Jej reżysera-inscenizatora, Włodzimierza Fełenczaka, znamy nie od dziś z sukcesów osiągniętych w Teatrze Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena, gdzie jest już dobrych lat kilka kierownikiem artystycznym. Zaprzyjaźniony z nim scenograf, Andrzej Szulc, były uczeń Szajny (od którego wpływów wprawdzie odżegnuje się — niezbyt elegancko — w wywiadzie prasowym), też ma na koncie sporo osiągnięć krajowych i zagranicznych. Współpraca Fełenczaka i Szulca przebiegała w idealnej harmonii, według założeń exposé scenografa. I cóż?

Miał być w scenografii, obok elementu realistycznego, „symbol jako nośnik poezji". Symbol plastyczny otrzymaliśmy w istocie, lecz „nośnikiem" się on nie staje albowiem poezji wizualnej podcina skrzydła tekst „moralitetu", określony jako „transpozycja" Korczakowego „Króla Maciusia Pierwszego", a będący tak naprawdę mieszanką siódmej wody po Korczaku, Wildzie, Saint-Exupéry z songami typu brechtowskiego i z niewydarzonym kabaretem. Posłuchajmy np. co śpiewają tu Ministrowie:

Dla niepoznaki / zmieniam poglądy na rozkaz / dla niepoznaki / mówię co mówią poddani / nie przyjaźnimy się z nikim / w oknach spuszczamy rolety... itd., itp. Wystarczy? Nie, jeszcze to:

Śpiewa Dziennikarz: *Dla dziennikarza / nic milszego nie ma / niż polowanko / na młodziutki temat / Rano z notesem / w maliny się wtuli / i już utrzelił / świeży artykulik /Stanie o świcie /z mikrofonem w krzakach — / jak ma na muszce /tytuł do wstępniaka.*

Dla kogo to nadrealne, absurdalne, ple-ple? Dorośli ziewają, dzieci kręcą się na fotelach.

Trochę wesołości wnosi krótkie wejście pary „człowiekolwów", przyczyniają jej też perypetie afrykańskie, Król Bum-Drum (Krystyn Wójcik —

Konfrontacje Młodego Teatru

TRZECIE już z kolei, doroczne lubelskie spotkania teatrów studenckich z całej Polski — Konfrontacje Młodego Teatru 79 — impreza nawiązująca do tradycji organizowanych kiedyś Lubelskich Wiosen Teatralnych, odbyły się tym razem w połowie maja. Pierwsze Konfrontacje trwały podczas październikowego zimna, ubiegłoroczne — w czasie kwietniowych wichrów a mimo to spotkały się z zainteresowaniem widzów. Natomiast obecne Konfrontacje Młodego Teatru, mimo pięknej, majowej pory, w odróżnieniu od poprzednich, minęły jakoś mało zauważone poza środowiskiem studenckim.

Jak wiadomo, lubelskie spotkania nie są organizowane na zasadzie konkursu, imprezy z „punktowanymi" miejscami, wyłaniającej leaderów wybijających się na czoło teatralnego peletonu, lecz stanowią swoistą formę porównania ostatnich osiągnięć teatralnego ruchu studenckiego w Polsce. Przede wszystkim zaś przegląd ostatnich premier. Jest więc lubelska impreza głównie odbiciem tego, co się w czasie ostatnich miesięcy ciekawego zdarzyło w teatrze studenckim.

Z obserwacji majowych spotkań widać przede wszystkim, że mamy do czynienia ze zjawiskiem coraz wyraźniej postępującego „odmładzania się" studenckiego teatru. Z nowymi premierami wystąpiły teatry zaliczane raczej do młodych, niektóre mogą się pochwalić zaledwie trzy lub czteroletnim stażem.

Oczywiście był „staruszek", łódzki „Pstrąg", działający od 1954 roku, który na swoim koncie ma ponad pół setki premier — teatr swego czasu poważnie liczący się w studenckiej kulturze, będący jednym z tych, które przyczyniły się do powstania pojęcia „teatru studenckiego", owego zjawiska kulturowo-artystycznego, jakie na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych miało tak wielki wpływ na wiele dziedzin naszego życia kulturalnego. W dużej mierze, również na wpuszczenie „świeżego powietrza" do teatru profesjonalnego. Obok „Bim-Bomu", warszawskiego „STS-u" wrocławskiego „Kalambura" czy krakowskiego „Teatru 38" był łódzki „Pstrąg" wylęgarnią młodych kadr artystycznych i intelektualnych. Od 1975 roku prowadzi „Pstrąga" Krystyna Pinseczna. Na obecnych Konfrontacjach wystąpił on z najnowszą premierą „Tea"; w przedstawieniu wykorzystano m. in. teksty polskich filozofów — Trentowskiego, Cieszkowskiego, Hoene-Wrońskiego, sięgnięto do Marksa i Lenina. To wszystko — połączone z wierszami współczesnych poetów, tekstami publicystycznymi i piosenkami. „W miejscu odbywania się spektaklu — pisał o tym przedstawieniu H. Pawlak w jednym z marcowych numerów „Głosu Robotniczego" — toczy się spór o pryncypia, młodzi ludzie szukają rodowodu ideowego i historycznego dla swoich postaw." Trzeba tutaj dodać, że szczególnie problem rozpatrywania owych postaw, podejmowany tak często przez studenckie teatry, w samej istocie słuszny i mogący świadczyć o głębokim zaangażowaniu twórców przedstawień w problemy dnia dzisiejszego, uzewnętrznia się niejednokrotnie na scenie — szczególnie w przedstawieniach co młodszych teatrów — w sposób tyleż gorący i „spektakularny" co nie koniecznie dojrzały i przemyślany.

„Starym" teatrem studenckim był na Konfrontacjach wrocławski „Gest", najstarszy istniejący polski teatr pantomimiczny, z którego, nawiasem mówiąc — wywodzi się Jerzy Leszczyński, założyciel i dyrektor lubelskiego Teatru Studio Wizji i Ruchu. „Gest" wystąpił tym razem z przedstawieniem „Ślepcy" opartym na dramatach Michela de Ghelderode.

Wreszcie — „starym" studenckim teatrem był krakowski „Teatr 38" prezentujący przedstawienia: „Beckett" wg tekstów Samuela Becketta oraz „Nowe wyzwolenie" wg Stanisława Wyspiańskiego. Jednakowoż obecny „Teatr 38", nawiązujący do tradycji placówki założonej w 1956 r. przez Waldemara Krygiera i wsławionej tylu artystycznymi dokonaniami, został reaktywowany w 1978 r. po ponad pięcioletnim okresie nieistnienia. Musi więc upłynąć trochę czasu zanim teatr ten znajdzie ostatecznie swoją drogę artystyczną.

Do „starszych", posiadających już swoją tradycję i dość wyraźnie zarysowaną linię artystyczno-ideową i repertuarową, zalicza się poznańska „Maja", pracująca od chwili powstania w 1974 roku pod kierownictwem Kazimierza Grochmalskiego.

Zabrakło, niestety, na konfrontacjach teatrów tej miary co Scena Plastyczna KUL prowadzona przez Leszka Mądzika czy też doskonała warszawska Akademia Ruchu. Ta ostatnia, nawiasem mówiąc, prezentowała się na początku kwietnia w salach ekspozycyjnych lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych. Przy okazji nasuwa się refleksja, że tak głośno zapowiadana przez niektórych obserwatorów — podczas pierwszych Konfron-

moje współczucie, na co mu zeszło!), urocza Klu-Klu (Ewa Pietras). Lecz nie na długo rozprasza się zawiesista nuda.

Aha, jest jeszcze zwinny, ruchliwy Gazeciarz, potem faworyt Felek (niezmordowany Jerzy Rogalski), którego z kolei obdarzono m.in. wierszykami w aktualnym stylu sztubackim: *Belfer coś truje — / ja śpię i kwitnę / Nie będzie dwójek / dla faworyta...* Ale zastanówmy się w końcu i nad walorem dydaktycznym opusu.

Owszem, kochany Stary Doktor, którego tak chętnie kiedyś słuchałam przez radio, lubił pokpiwać z „rządów" dorosłych. Do nich w gruncie rzeczy adresował znakomitą większość swych książek. Tylko jakże delikatna, subtelna była jego ironia. Choćby np. w mądrej powieści „Kiedy znów będę mały". Satyra zaś autorki „Wielkiego małego króla" ma wagę — ołowiu. I skoro już jesteśmy przy dydaktyce, przypomnijmy sobie, że warunki, w jakich żyjemy, nieco się zmieniły od czasów, w których Janusz Korczak napisał „Króla Maciusia Pierwszego". Ongi dorośli rządzili dziećmi, często niemądrze, dziś przeważnie dzieci „rządzą" rodzicami, chyba też nie najlepiej i niekiedy po tyrańsku — *cet âge est sans pitié* — mawiali już dawno Francuzi. Żart żartem, ale doprawdy nie sądzę, by wmawianie dzieciom, że są o wiele mądrzejsze od dorosłych, było akurat obecnie szczególnie wskazane.

Summa summarum: napracowali się nasi utalentowani, dzielni aktorzy — już wyżej wymienieni i oprócz nich — Andrzej Rzechowski (Doktor), Grażyna Kłodnicka (Szymonek, który „schował się" w bajce), Witold Zarychta (Dziennikarz), Józef Gmyrek (Premier), Ryszard Kolaszyński (Minister Wojny), Andrzej Redosz (Minister Oświaty), Ryszard Zarewicz (gościnnie — Minister Sprawiedliwości!), Tadeusz Pluciennik (Poseł). Napracował się reżyser Włodzimierz Fełenczak (który niedawno zrobił u siebie prześliczny spektakl bułgarskiej sztuczki „Dokąd pędzisz, koniku"). Napracował się Andrzej Szulc, scenograf realizujący świetnie swe zapowiedzi: jego niebo z obłokami, okalające ponurą celę sierocińca, otwiera naprawdę „nadrealną przestrzeń"... Napracowała się wspaniała artystka — choreograf Barbara Fijewska. Ale cała machina została nastawiona, jak to się mówi w mechanice, na bieg luzowy.

I przychodzi mi do głowy pytanie: czy nie lepiej by uczcił Teatr Osterwy pamięć Janusza Korczaka wystawieniem jego własnej, oryginalnej sztuki „Senat szaleńców", którą tak celnie wyreżyserował sam przecie Włodzimierz Fełenczak dla Studia Dramaturgii Współczesnej? I niechby scenografię do niej opracował właśnie Andrzej Szulc.

A dzieci? Niechaj troszczy się o ich rozrywki raczej Teatr im. Andersena, bardziej z nimi obyty. Albo usłuchajmy rady Tadeusza Różewicza, który powiedział z uśmiechem w niedawnym wywiadzie:

„W Międzynarodowym Roku Dziecka zwracam się do dorosłych: nie męczcie dzieci w teatrze i w życiu. Niech sobie pobiegają."

---

tacji — inwazja plastyki na teatr studencki jakoś się nie potwierdziła. Został on przy słowie mówionym. Natomiast i Mądzik i Akademia Ruchu wydają się iść coraz bardziej swoimi drogami.

W Konfrontacjach Młodego Teatru 79 uczestniczyło 10 zespołów, które zaprezentowały łącznie 11 przedstawień. Poza „Pstrągiem", „Gestem" i „Teatrem 38" wystąpił teatr „Jan" z Poznania z „Przedstawieniem galowym"; również z Poznania — „ICD" z „Naszą listą przebojów", gdańska „Jedynka" z „Diagnozą", poznańska „Maja" ze „Świergotem martwych piskląt". Warszawę reprezentował Teatr PSPS pokazując spektakl „Bufet zawsze otwarty", lubelska „Scena 6" wystąpiła z „Odwykiem", a teatr „Why not" z Wrocławia — z „Pod mlecznym lasem".

Były oczywiście tradycyjnie imprezy towarzyszące, a wśród nich m. in. występy lubelskiego „Provisorium", Teatru Ulicznego z Budapesztu, Teatru „8-go Dnia". Wydany został sensownie pomyślany „Biuletyn" — informator Konfrontacji Młodego Teatru. Rzeczowy, z ciekawie zaprojektowaną okładką.

Obyśmy jednak, w czasie następnych Konfrontacji, mogli również oglądać najnowsze dokonania innych lubelskich teatrów studenckich, których wszak w Lublinie — mnogość!

M. D.

Kazimierza Andrzeja Jaworskiego

Na ulicy twórcy „Kameny"

Karol Mucha

JAK się chce komuś źle życzyć, to wystarczy powiedzieć: buduj się — mężczyzna rozejrzał się po ulicy i pokazał domek w głębi. — Tam mieszka facet trzeci rok w suterenie, dach dopiero w tym roku położył. Drugi, tam dalej, postawił dom do sutereny i umarł. Nie wytrzymał tego wszystkiego. A w tamtym domu z kolei właściciela belka zabiła. U mnie prócz kradzieży jeszcze nic nie było. Ukradli dwie beczki lepiku, cement i suporeks oraz część parkietu. A prócz tego mało się nakradli robotnicy? ciągnęli instalacje — wodną, gazową i elektryczną.

— A prezydent, poprzedni, obiecywał góry, lasy — wspomina mężczyzna — że otrzymamy pomoc co do materiałów, robotników, a uzbrojenie terenu to już w ogóle nie miał być nasz kłopot. A teraz trzeba wszystko samemu.

„Samemu" to znaczy, że należy prywatnie nająć robotników i prywatnie skombinować materiał. Wewnątrz budynków ten i ów w osiedlu robili sobie własnymi siłami to i owo, na przykład instalację elektryczną. Potem do odbioru podstawiło się kogoś uprawnionego, żeby podpisał. Tani koszt. Ale wszystkiego w ten sposób się nie zrobi. I za wszystko trzeba płacić, a tu materiały i robocizna skoczyły w cenie. Tylko działki były z przydziału, fundowane i to zachęcało, więc wzięło ich kilku z zakładu, ale niektórzy zrezygnowali, widząc jaki to koszt.

— Ile pan już włożył w budowę domu?

— Nie liczyłem, ale jakieś 600 tysięcy.

— I jeszcze nie gotowy?

Mężczyzna aż łopatą przestał machać.

— Pan się dopiero urodził?

Bardzo ładna ta dzielnica. Architektura sympatyczniejsza niż na przykład na Węglinie. I więcej przestrzeni. Między domkami ogródki już obsiane, obsadzone. Z ogródków wielu ma, jak na razie, największy pożytek, bo wydają owoce od kilku lat. Mężczyzna z łopatą miał już własne truskawki, maliny, pomidory, ogórki. Gdy przyszedł tutaj za pierwszym razem w 1974 roku, okolica wydała mu się piękna, świerszcze cykały w trawach, las opodal, pola.

— Żebym rok wcześniej zaczynał — wspomniał sobie — to bym wyszedł na swoje. Ale akurat wtedy najtrudniej było o materiały budowlane. A teraz jest makabra. I w dodatku człowiek wyzbyty znajomości jest jak kaleka, nic nie wart.

Inna przeszkoda to prywatne firmy.

— Narobiło się ich do cholery. Mają wszystkie materiały, ale sprzedają tylko z robocizną — mówił.

Bardziej od tajemnic prywaciarzy interesuje mnie, skąd ten człowiek wziął pieniądze na budowę domu. Na szacha perskiego nie wygląda.

— Ja panu powiem jak można mieć pieniądze: trzeba umieć gospodarzyć. Jak my się z żoną pobraliśmy, to wziąłem pożyczki i na pięcioprocentowe książeczki wpłacałem. Książeczek miałem stos. A jak brakowało na chleb, to się z tych pieniędzy nie ruszało, tylko pożyczaliśmy 50 złotych.

— Brakowało?

— A bo raz? Ale dzieci były małe i forsa płynęła jak cholera.

— Przez ile lat?

Mężczyzna przeliczał w pamięci z wyrazem skupienia na twarzy.

— Przez kilkanaście — powiedział i ciągnął dalej. — Jedni myślą: „co ja się mam zabijać i tak do piachu", ale gdyby wszyscy oszczędzali grosz do grosza... Żonę mam gospodarną — pochwalił się. — Żeby pan wiedział, że to najważniejsze. Gospodarna żona do majątek i zdrowie. Ale jakbym opowiedział początki małżeństwa, to by pan nie uwierzył — od łyżki żeśmy się dorabiali. Pamiętam, jak żona butelką wałkowała ciasto na desce.

Piachu jakby nie ubywało. Na sąsiednią posesję ktoś wszedł. To dyrektor zakładów, w których pracuje mężczyzna z łopatą, jeden z tych, co wzięli działki. On też przy budowie wszystko robi sam. W oddali odjechała „Dacia" młodego małżeństwa, które w piętrowej willi zajmuje suterenę na czas budowy. Na całej ulicy pustawo. W pobliżu przeszedł pies z kulawą nogą.

— Dziś jak człowiek opowiada dzieciom, że przed wojną chleb szanowali, to nie wierzą — mówił mężczyzna i wyciągał z piachu korzenie traw. — Albo, że święte było słowo matki. Nie, to znaczyło nic. Człowiek ani mruknął. A w dzień odpocząć, przespać się? Noc była do spania. I dobrze tak, bo ludziom jak lekko przychodzi, to nie mają szacunku do tego grosza i do tego życia. Młodzi zwłaszcza.

Starszy syn mężczyzny z łopatą studiuje historię sztuki. Takie sobie studia wybrał po technikum mechanicznym. Niedawno się ożenił. Ojciec niezbyt z tego zadowolony.

— Każdy jest kowalem własnego losu, ale ja myślę, że za wcześnie mu na ożenek. To mało mieć swoje lata. Trzeba umieć na siebie zarobić. Ale jak to powiadają — pocieszał się — ranne wstawanie i wczesny ożenek nigdy nie zaszkodzą.

Pomiędzy ojcem i synem jeszcze jest taka niezgodność, że rodzic do malowania ma obie lewe ręce, zresztą matka również, a syn ołówkiem dobrze operuje.

Fot. Alojzy Drozd

— Ale ja nie wiem — powiedział mężczyzna przerzucając piach — czy mu ta historia sztuki da chleb.

— Co po panu syn odziedziczył?

— Po mnie to chyba nic — aż się zdumiał i zatroskał własnymi słowami.

— A co by pan chciał, żeby syn miał po panu?

Piach przestał szeleścić na łopacie. Tylko na chwilę, bo mężczyzna zagarnął szuflą nową partię.

— Co ja bym chciał? — powiedział. — No, może żeby charakter przejął po rodzicach, gospodarność. O! Ja jestem tej zasady, że wolę komuś pomóc, niż żądać od kogoś.

— A prócz gospodarności?

— Cóż tam więcej? Zgoda w rodzinie. Jak tego brak, to nic nie ma.

Piachu było sporo, dobra ciężarówka, kilka ton. Potrzebny na wysypanie ulicy przed domem, żeby móc chodniki położyć. Jeszcze tu nie ma chodników. Ani szosy, ani latarni. W ogóle nie ma ulicy, tylko przestrzeń między rzędami domów — bliźniaków i trochę żużlu na utwardzenie drogi.

Ta przestrzeń nosi imię człowieka, który stworzył „Kamenę", Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Boczna ulica nazywa się Juliusza Kleinera. Trzy razy krótsza i jeszcze bardziej jej nie ma niż tej dłuższej. Przedtem ulica KAJ-a nazywała się Kleinera, ale zmieniono. Kleiner do „Kameny" napisał w końcu tylko jeden artykuł pt. „W sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin Mickiewicza". W tym samym czasie — tuż po wojnie — drukował w piśmie Jan Parandowski artykuł pt.: „Kto jest pisarzem?".

Ostatecznie mężczyzna z łopatą nie mieszka przy ul. J. Kleinera, tylko przy ulicy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Trochę dalej biegnie ulica Feliksa Araszkiewicza, poprzecznie. On też zaczął drukować w „Kamenie" dopiero po wojnie.

Mężczyzna z łopatą przerzucał piach i trochę zrównywał ziemię pod płytki. To samo zrobi każdy z sąsiadów. Potem wszyscy będą kłaść chodniki.

— Każdy przed sobą — mówił mężczyzna z łopatą.

Tak samo we własnym zakresie ułożyli część krawężników, przeBo dopiero połowa maja, a tu człowiek tylko w slipach. Wprawdzie słońce praży, ale jeszcze kiedy niekiedy przeciągnie cienka igła zimnego podmuchu. A mężczyzna już nie taki młody, lecz jeszcze krzepki, a poza tym robota rozgrzewa. Na koniec jednak, koło godziny osiemnastej przyznał się, że gardło trochę boli, lecz to pewnie od zimnej wody pitej z kranu w przerwach pracy.

— Będzie pan sam ten piach przerzucał? Nie może syn pomóc?

— Który?

— No, młodszy, skoro ma tu mieszkać.

— Gdyby pan mu płacił, to może by przyszedł — ironizował mężczyzna niby ze mnie, ale tak naprawdę to z własnego stanu posiadania.

Do ulicy Kazimierza Andrzeja Jaworskiego dojeżdża autobus nr 28. Obaj poszliśmy na przystanek, bo mężczyzna skończył pracę przy domku. Przy jednym z budynków minęliśmy szopę uczynioną ze starego autobusu, a na niej do góry nogami zawieszoną tablicę z napisem: „Dla bezpieczeństwa odrzuć złe narzędzia pracy".

Lubelski bestseller Romana Tokarczyka

WYDANA w grudniu 1975 r. przez Wydawnictwo Lubelskie książka Romana Tokarczyka „Współczesne doktryny polityczne" *) jest jedyną u nas pozycją zawierającą opracowanie głównych współczesnych niemarksistowskich doktryn politycznych. Zawarte są w niej omówienia wybranych kierunków współczesnej niemarksistowskiej myśli politycznej: liberalizmu i neoliberalizmu, interwencjonizmu, faszyzmu i neofaszyzmu, doktryn katolickich, doktryny Islamu, ghandyzmu i doktryny Nehru, maoizmu, trockizmu i neotrockizmu, idei Nowej Lewicy w USA oraz najbardziej aktualnych, powstałych w większości w okresie ostatnich kilkunastu lat doktryn koncepcji scjentyczno-futurologicznych.

Poszczególne rozdziały, poświęcone kolejnym doktrynom lub grupom doktryn, stanowią odrębne całości, zawierające w zasadzie wyczerpujące omówienie także genezy, podłoża historycznego, ideowego i faktycznego. Stanowią one jakby odrębne eseje. Zwraca uwagę duża kultura pisarska autora, któremu udaje się trudna sztuka pogodzenia dokładności informacji naukowej z lekkością stylu. Nie będzie przesadą twierdzenie, że jest to na ogół rzadkością w ukazujących się u nas pracach z zakresu historii doktryn politycznych.

W książce można między innymi znaleźć ciekawe omówienie i krytykę doktryny maoizmu, trockizmu i neotrockizmu. Materiały na temat tych doktryn są u nas na ogół niedostępne dla przeciętnego czytelnika. Z ukazujących się czasem artykułów w periodykach trudno zorientować się o faktycznej treści tych doktryn.

Oryginalny i ciekawy jest sposób, w jaki autor łączy w pewną całość grupę doktryn reformistycznych — reformizm, rewizjonizm i socjaldemokratyzm.

Zwraca uwagę umieszczenie przez Tokarczyka ideologii socjalnego państwa prawnego w grupie doktryn neoliberalnych. Jest to ujęcie odmienne od koncepcji innych autorów, którzy traktują tę ideologię jako niemiecką modyfikację doktryny państwa dobrobytu, mimo że sami temu zaprzeczają. Wydaje się, że koncepcja R. Tokarczyka jest trafniejsza. Za zaliczeniem wspomnianej ideologii do nurtu neoliberalnego przemawia więcej faktów, a także sam „duch" doktryny. Nie oznacza to, że chodzi o ujęcia diametralnie różne; od „umiarkowanego liberalizmu" do „umiarkowanego interwencjonizmu" droga, wbrew pozorom, nie jest zbyt daleka.

Można polemizować co do znaczenia, jakie przypisał autor doktrynom konwergencji. Rozdział dotyczący tych doktryn, w odróżnieniu od wszystkich innych części pracy, zawiera jedynie bardzo ogólne, syntetyczne informacje. Między innymi — tylko zasygnalizowanie istnienia doktryny technokratyzmu.

Na szczególną uwagę zasługuje ostatnia część książki — „Zamiast zakończenia". Autor zawarł w niej nowe, oryginalne, powstałe w ostatnich latach idee. Zarazem dokonał próby naukowej klasyfikacji tych idei. Jest to próba w naszym piśmiennictwie bodaj pierwsza.

Styl autora jest nienaganny, jasny i zrozumiały, mimo że tematyka wymaga częstokroć wysokiego stopnia abstrakcji językowej. Stąd też będzie dostępna dla prawie każdego czytelnika. Niezależnie od tego jest ona w naszym kraju jedyną pozycją wydawniczą, uzupełniającą podręczniki dla kierunków politologicznych i prawniczych o tematykę doktryn i koncepcji politycznych XX wieku.

Książka jest wydana w starannej szacie graficznej, w płóciennej oprawie. Nakład 10 000 egz. Pozycja znikła z półek księgarskich natychmiast po ukazaniu się.

Stefan Uljasz

*) Roman Tokarczyk: „Współczesne doktryny polityczne". Wydawnictwo Lubelskie, 1975.

Dedal i Ikar ze skrzydłami z dzierżaka i bijaka

PRZECZYTAŁEM już sporą część plonu konkursu otwartego LSW i ZLP. Jak na razie rewelacji nie ma, bestseller nie zechciał się jeszcze narodzić. Niemniej spośród opublikowanych książek zdecydowanie wyróżnia się „Dzierżak" Józefa Zięby. Lubelski poeta i prozaik dokonał w wyróżnionej na wspomnianym konkursie powieści jakby aktualnego rozrachunku z historyczną już relacją między wsią a miastem, między człowiekiem urodzonym na wsi, a wykształconym i mieszkającym w mieście. Ileż to jest tych Dedalów i Ikarów, którzy uciekli od polskiego Minosa? W naszym wydaniu lot ten często bywał krótki, a i powrót zdarza się coraz częściej. Zięba upiera się jednak przy tej symbolice i ma rację.

Przypatrzmy się jej nieco. Bohater książki umyślił sobie udekorować swoje miejskie mieszkanie... cepami! Dzierżak i bijak, dwa skrzydła rodzimego urządzenia do młócenia, mają wraz z półką okupowaną przez ludowe świątki zapewnić bohaterowi spokój duszy i ciała. W snach chodzi z siekierą po Zajęczej Górze i szuka odpowiedniego drąga, aby zrobić z niego dzierżak, ale drzewa od niego uciekały do starego lasu. Więc obawia się tego, co zawarte jest w książkach i tego, co tkwi i rodzi się w ludzkich umysłach. Z rozpaczą stwierdza, że nie można się od tych obaw wyzwolić. „W świecie tym potrzebna jest mu laska, dzierżak albo kawałek pola, na którym mógłby nogi stawiać i korzenie jak drzewo w ziemię tę zapuszczać. Od tego mógłby wszystko na nowo budować. Potrzebna jest mu na to twarda ziemia, silna podstawa". (str. 57).

A więc twarda laska cepów i ziemia. Józef Zięba przypomina w swej powieści obiegowe sądy literackie na temat ziemi. A więc jest porównanie do kobiety, do której trzeba podchodzić łagodnie i z uczuciem. Jest także ziemia — kotwica, do której można się trwale przytwierdzić, znaleźć niezachwianą ostoję. Jest na koniec cytat z Biblii: „Czyńcie ją sobie poddaną". Rozumiem doskonale niepokoje i tęsknoty bohatera książki, bo sam jestem w podobnej sytuacji zawieszony na którymś tam piętrze miejskiego bloku. Ale czy to jest usprawiedliwienie dla tego rodzaju myślenia? Czy ciągle musi działać irracjonalne prawo życia nawołujące do powrotu ku źródłom istnienia?

Czy nie lepiej być obywatelem świata? Niepotrzebnie Zięba wdaje się w dyskusję z Marią Kuncewiczową w tej sprawie, nazywając ją „starą kobietą". Autorka „Fantomów" stworzyła właśnie pomysł obywatelstwa świata i zrezygnowała chyba z niego kładąc swój piękny pomysł między złudzenie a fikcję. To, że z bardzo daleka powróciła do Kazimierza niczego nie dowodzi i wcale pomysłu nie przekreśla...

Jak przesłanie winni odebrać wszyscy Dedale i Ikarzy następujący akapit z „Dzierżaka":

„Ojciec twój tak był przecież szczęśliwy, że zdołał się wreszcie wyzwolić od tego przytwierdzenia, a ty znowu chciałbyś starodawne pęta na nogi swoje zakładać? Teraz możesz latać jak ptak. Wszystkie są twoje lasy i pola. Po co będziesz jak polip do jednego miejsca na zawsze przyrastał? Twoim jest przecież wszystko prawem odwiecznym całej ziemi dziedzica". (str. 96).

Wszystkie są twoje lasy i pola...! Jakże to piękne, nierealne i prawdziwe zarazem.

Emil Biela

Józef Zięba: „Dzierżak". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1975, str. 208, cena 20 zł.

Lufcik kosmosu

OD „Polskiej prozy fantastyczno-naukowej" Ryszarda Handkego do „Fantastyki i futurologii" Lema upłynął rok. Trzecią tego gatunku pracę — „Okno Kosmosu" Andrzeja Wójcika dzieli od fundamentalnego dzieła Lema okres lat dziewięciu, czyli, rozpatrując rzecz w kategoriach rozwoju polskiej SF — cała epoka.

Książka Wójcika składa się z trzech części: pierwsza, równa połowie objętości książki stanowi wprowadzenie w temat, czyli przegląd wszystkich podgatunków literatury fantastycznej w ogóle w ujęciu historycznym, z uwzględnieniem ciekawszych przedstawicieli polskich i obcych, część druga to właściwy przegląd polskiej SF, trzecia zaś miała w założeniu autora zawrzeć wnioski końcowe. Na podstawie wszystkich części łatwo poznać, co autor lubi, a czego nie i co do swej pracy przeczytał, a czego nie zdążył. A nie zdążył, jak się za chwilę okaże, dużo.

Podstawowym nieporozumieniem w części pierwszej jest wyprowadzanie całej genealogii SF od Adama i Ewy, czyli od mitu i baśni. Autor omawia wszystkie gatunki literackie chronologicznie poprzedzające pojawienie się SF: utopię, fantastykę socjologiczną, fantastykę grozy i wreszcie samą SF, przy czym wszystkie te gatunki traktuje jak dziedziny odrębne. Błąd w rozumowaniu polega na tym, że omawiane utwory przynależą do tego samego gatunku, czyli do fantastyki naukowej, stanowiąc jedynie różne jej odmiany. Gdy dzieła te ukazały się po raz pierwszy, były przez czytelnika odebrane jako fantastyczne, a ponieważ były budowane w oparciu o wiedzę uważaną podówczas za naukowo dowiedzioną lub dowodzenia nie wymagającą, można i trzeba je uznać za dzieła SF.

Pisząc pierwszą część Andrzej Wójcik dał się poznać jako znawca literatury obcej, mający polskie dokonania (dodajmy: głównie dawniejsze) w dziedzinie fantastyki za coś gorszego, jeśli nie wręcz za nic. W dziedzinie utopii sięga bowiem po dzieła nigdy w naszym kraju nie wydane, pomijając zupełnym milczeniem wcale dobrą książkę. Chodzi o „Pamiętnik znaleziony w wannie" Stanisława Lema.

W krótkim rozdziale poświęconym literaturze grozy Wójcik pisze „Fantastyka grozy była do przełomu XIX i XX stulecia dziedziną twórczości w Polsce raczej niepopularną, czasem wręcz egzotyczną. Nie było bowiem wśród naszych pisarzy takiego, dla którego żywioł fantastyczny osiągnąłby rangę czynnika automatycznego i wyłącznego, był środkiem wypowiedzenia własnych treści wewnętrznych". Dobrze, że napisał „raczej" — inaczej powyższy cytat byłby kłamstwem, a tak jest przynajmniej półprawdą. Dwadzieścia sześć lat temu ukazała się w Państwowym Instytucie Wydawniczym zestawiona przez Juliana Tuwima antologia „Polska nowela fantastyczna" (II wyd. 1976), w której znalazły się opowiadania dziewiętnastu autorów, uprawiających głównie fantastykę grozy. Poza Janem Potockim, o którym Wójcik pisze, a który przynależy raczej do literatury francuskiej, przeważnie bowiem w tym języku tworzył, aż jedenastu autorów zmarło przed rokiem 1900. Nie było więc tak źle w tym XIX wieku, zwłaszcza że wśród tych jedenastu pisarzy są nazwiska niekoniecznie małe, bo mamy tu i Ludwika Sztyrmera i Józefa Bohdana Dziekońskiego i Karola Libelta, a więc pisarzy dosyć znanych. Niestety wszystkich ich Wójcik pomija milczeniem, podobnie zresztą obchodzi się z najwybitniejszym naszym przedstawicielem noweli grozy, Stefanem Grabińskim. Z twórczości tego ostatniego Stanisław Lem wybrał aż 25 opowiadań, które uznał za ciekawe. Sądzę, że zarówno Tuwimowi jak i Lemowi można ufać. Wójcik nie dowierza. Dlaczego? Niechęć, złośliwość, a może tylko niewiedza?

Kto będzie miał cierpliwość przebijać się przez masę cytatów ze znanych każdemu miłośnikowi SF dzieł nie popartą ani jedną oryginalną myślą samego Wójcika, dojdzie do części drugiej zatytułowanej „Przegląd pól problemowych polskiej prozy fantastyczno-naukowej" i rozczaruje się po raz drugi. Spotka bowiem to samo ubóstwo oryginalnych myśli autora i tę samą, co w części pierwszej fragmentaryczność analizy. W rozdziale dotyczącym przyszłych losów ludzkości nie ma nawet najmniejszej wzmianki o wspomnianym powyżej „Pamiętniku znalezionym w wannie", choć dzieło to i tu znakomicie się mieści, ani o „Przekładańcu" czy „Powrocie z gwiazd". Ta awersja do Lema musi dziwić, zwłaszcza że Wójcik nigdy nie wychyla się z analizą utworów, które wnoszą coś nowego, a nie doczekały się opracowań.

Podobnie rzecz ma się i z samym doborem owych „pól problemowych". Są trzy: wizja przyszłości, obraz Kosmitów i wynalazki techniczne. Za to ani słowa o relacji człowiek—maszyna, choć materiał do analizy jest bogaty i ciekawy, ani słowa o problemie czasu i przestrzeni, czy wreszcie samym bohaterze, jeśli nie liczyć niewielkiej przecież wzmianki o wynalazcach i odkrywcach. Niestety, nie samymi uczonymi fantastyka stoi. Są jeszcze piloci, roboty, politycy czy w końcu zwyczajni ludzie. Zwyczajni to wcale nie znaczy: niegodni pióra badacza. Wprost przeciwnie — i im czasem warto się przyjrzeć.

Na koniec bolączka dla drugiej części najcięższa, tak ciężka, że w celu jej usunięcia potrzebna była jeszcze jedna część: brak jakichkolwiek uwag o formalnej stronie polskich utworów SF. A mamy się tu czym pochwalić! Polska fantastyka naukowa to pod względem formy, stylu i języka mozaika niezwykle barwna. Na temat samego tylko Lema można by napisać wcale pokaźną i interesującą rozprawę teoretyczno-literacką, boć to i mistrz nad mistrze, a przecież na Lemie, jak sam Wójcik twierdzi, polska science fiction bynajmniej się nie kończy.

I wreszcie część trzecia „Od mitu do mitu" — w założeniu autora podsumowanie i wnioski. Dla poszukiwacza prawdy najbardziej interesujące jest przekonanie autora o istnieniu w Polsce „nowej fali" w SF, która pchnie polską SF na szerokie wody. Po co? Przecież i tak idziemy w światowej szpicy, a poza tym przestańmy w końcu majaczyć o dziejowym posłannictwie młodych i spójrzmy, jeśli stać nas na odwagę, w oczy prawdzie, która, jak zwykle jest nieco bardziej szara niż rojenia. Otóż w polskiej fantastyce nie ma żadnej nowej fali. Pokolenie wstępujące przypomina sforę szakali żywiących się resztkami z uczty wielkich. Niestety, chlubne wyjątki przydają tej tezie jeszcze więcej smutku. Polska fantastyka naukowa przypomina szklaną górę, na której szczycie siedzi niezagrożony w swej potędze Lem, ku któremu pracowicie drapie się kilku pisarzy, zaś reszta trenuje na pagórkach, chociaż są i tacy, co to sobie wmówili, że są na szczycie i teraz usiłują o tym samym przekonać czytelników.

I tak będzie zawsze, dopóki nie dorobimy się dobrej i rzetelnej krytyki SF, co jest warunkiem sine qua non rozwoju literatury. Do spełnienia tego warunku „nowa fala" nigdy nie stanie się tsunami, a co najwyżej falą wywołaną przez zeschły liść wpadający do kałuży.

Wprawdzie Wójcik obserwuje polską SF przez okno Kosmosu, ale co dla jednego jest oknem, dla drugiego zaledwie lufcikiem, do tego z wybitą szybą.

Marian A. Aleksandrowicz

Między okładkami

Jerzy Urbankiewicz: „Złotook"

Z początku chce się odstawić na półkę: żadnej filozoficznej wymowy, zwykły beletryzowany felieton. Sięgnąć po ostatnią stronę „Kultury" i jest to samo, nawet krótsze w czytaniu. Z czasem jednak rzecz się korzystnie klaruje. Wprawdzie filozofia dalej nie przychodzi, ale felieton nabiera stylistycznej atrakcyjności. I właśnie językowa, ta najbardziej zewnętrzna warstwa tekstu zawiera cały jego sens: zwrotem, fintą stylistyczną wyrazić to, co by wynikło z długiego opisu. Jaka treść? Pewna Marylka otrzymała od chłopca kawałek bursztynu z wtopionym w nim owadem zwanym złotook (chrysopa vulgaris) i zapałała miłością. Ale nie do chłopca, lecz do geologii. Tak ją pociągnęła zagadka chryzopy. Zaczęła studiować geologię, zaczęła interesować się eksploracyjnymi wiertniami. Na miejsce jednego z nich (Bełchatów) pojechała na rowerze z innym chłopcem. Oczywiście znów nici z przytulanek (dwa rowery, dwa namioty), bo urobek spod świdra, bo „kiekiajna", bo „graniatka", czyli cały ten wiertniczy kram, który dziewczynę interesuje bardziej niż wakacyjna samotność we dwoje. Czyli — zmyślone od początku do końca. (Nawiasem: w każdej powieści reallów kupa, ale kiedy otrzymamy naprawdę realistyczną powieść?) Bo jeszcze jest Mirka ponad miarę otwarta w wyznaniach swojej seksualnej swobody, jeszcze jest Wojtek, którego narzeczona musiała do owej swobody zmusić, jeszcze wiejscy wujkowie młodsi od swoich siostrzeńców itp. Autor trochę przedobrzył. Ale czy do tego nie ma prawa felieton? A jeśli ktoś gustuje w sytuacjach typu „Inspektor Maigret prowadzi śledztwo", również mianie językiem. Czyli: nic-nic, a wyszła całkiem dobra książka. Oby dało się to powiedzieć o wszystkim, co mimo braku papieru i trudności poligraficznej bazy wchodzi na czytelniczy rynek.

*

Władysław Terlecki: „Złoty wąwóz"

Niestety, nie da się. Nie da się o tym „Wąwozie". Terlecki wprawdzie posługuje się składnikami solidnej tradycyjnej narracji, ale przy łączeniu tychże tak łatwo ulega pokusie awangardowych eksperymentów, jakby chciał udokumentować, że i on potrafi, że nie gorszy. W konsekwencji zawsze mamy coś takiego, jak w tych opowieściach swojskiego Münchhausena, który wyskoczywszy z gęstego łanu zboża wpadł po kolana w śnieg. Dlaczego krytyka tego nie wytknęła? Na dobrą sprawę nie tam się nie trzyma kupy. Owszem, komentarz krytyczno-literacki przechodząc ponad konkretem pisarskiej realizacji nie ma tych trudności, ale nie potrzeba aż uważnej lektury, by łapać autora na dowolnościach. A niektóre sytuacje są w ogóle nieokreślone. Czy spolegowane w znaczeniu zdanie to takie, z którego co drugi wyraz usunięto? Terlecki w ten sposób dokonuje „flotacji" swojej prozy. W dodatku ciężkiej, ciężko czytającej się, nie owocującej czytelniczą satysfakcją. Tak, pozory oryginalności da się tam ukazać. I to chyba powód popularności tego autora w ośrodkach publikacji.

*

Józef Juzowski: „Notatki z Polski"

Juzowski był (był: 1902—1964) wybitnym radzieckim krytykiem teatralnym. Urodził się w Warszawie i niejednokrotnie dawał wyraz fascynacji swoją drugą ojczyzną. Po czterdziestu latach, w roku 1963 odwiedził Polskę, by zebrać materiał do książki. Pisał ją, ale jej nie skończył. Przeszkodził szpital. „Notatki z Polski" to — jak sam Juzowski mówi — reportaż liryczny, dla nas tym ciekawszy, że jak gdyby oglądamy nasz kraj okiem z zewnątrz, ale okiem równie rozmiłowanym i pełnym zainteresowania specyficznymi dla nas objawami życia. Wszystko jest tak con amore, że nieżyjący autor narobił sobie masę dłużników wdzięczności. Choćby w osobach Przybory i Wasowskiego, których „Kabaretowi Starszych Panów" tyle się dobrego dostało, choćby w osobach tych 34 Józefów, którzy noc z 19 na 20 marca spędzili w izbie wytrzeźwień.

*

Krzysztof Teodor Toeplitz: „Podglądanie na odległość"

Irzykowski o filmie napisał teoretyczną książkę. Czy w równie teoretyczny sposób można pisać o telewizji? KTT zapewnia, że takie zadanie sobie postawił. I całe szczęście, że nie wykonał. Po co nam piła, lepiej zbiór felietonów. No, rozprawko-felietonów. Zachodzi tylko pytanie do jakiego stopnia pisanie o telewizji jest potrzebą poruszenia tematu, a do jakiego okolicznością, że na ten temat jeszcze niewiele napisano. Zjawiskiem artystycznym TV nie jest. Sam Toeplitz powiada, że aktor filmowy jest dla nas gwiazdą (żeby się z nim spotkać, musimy pójść do kina), natomiast aktor telewizyjny sąsiadem (sam do nas przychodzi). O telewizji mówi się „guma do żucia dla oczu". I to chyba główny powód socjologicznych na ten temat rozważań.

M. Z.

RAZGOUR

Y. Razgour w swoim atelier malarskim

„JESTEM przyjacielem Pana Razgoura. Od 5 lutego Pan Razgour przebywa w szpitalu Lariboisiere w Paryżu i ponieważ stan zdrowia chwilowo nie pozwala mu na pisanie, poprosił mnie o napisanie tego listu. Pan Razgour przebywa na oddziale kardiologii pod opieką jednego z najsłynniejszych francuskich lekarzy, prof. Bouvrain. Chwilowo wszelkie plany związane z przyjazdem do Polski oraz organizowaniem wystawy muszą być odłożone do chwili powrotu do zdrowia. Zarówno Pan Razgour jak i wszyscy Jego tutaj przyjaciele mamy nadzieję niezłomną, że nastąpi to jak najprędzej..."

Ten list, adresowany do zaprzyjaźnionej od lat z Razgourem mieszkanki Lublina, pani Danuty Szulc, nosił datę 12 kwietnia 1979 roku. Niedługo potem, 25 kwietnia, człowiek, w którego powrót do zdrowia wierzyli wszyscy jego przyjaciele, zmarł — w wieku 64 lat. Kilkanaście dni później rozdzwonił się telefon redakcyjny: nieznane mi osoby informowały o tym smutnym fakcie, zdając się być zupełnie zaskoczone śmiercią artysty, którego żywotność i nieustająca aktywność twórcza obiecywały zupełnie inną perspektywę.

Malarze lubelscy starszego pokolenia, pracownicy naszego muzeum i niektórzy kazimierzanie dobrze znali niewysokiego mężczyznę w okularach, który swego czasu rokrocznie przyjeżdżał z Paryża, aby malować renesansowe pejzaże nadwiślańskie. Ciągnęły go tu zapewne resentymenty: Razgour urodził się w Lublinie w 1914 roku i choć wyjechał do Francji już po roku 1933, mając 19 lat, to jednak doświadczenia lat młodzieńczych zawsze pozostawały w jego pamięci jako coś bliskiego, żywego i wyrazistego. „Na Starym Mieście — wspominał w wywiadzie prasowym — było zawsze tłoczno, ludzie stawali przed swoimi domami, żywo gestykulując, prowadzili sąsiedzkie rozmowy, dzieci z wrzaskiem biegały z ulicy na ulicę, od czasu do czasu przejeżdżały dorożki. Było tu gwarno. Z tego tłumu w pamięci utkwił mi wysoki Żyd, który w stroju starozakonnym, z mycką na głowie i szablą (tak, tak, szablą!), przewieszoną u boku na sznurku, z papierowymi medalami przemierzał dumnie ulice Starego Miasta. Wydawało mu się, że jest generałem. Wtedy formował szeregi dzieciaków, wyciągał szablę i z okrzykiem w języku żydowskim maszerował".

Sympatia Yehudy Razgoura do Lublina mogła przecież wynikać i z ceremoniału, z jakim podejmowano go w mieście, w którym po raz pierwszy wystawiał w szczególnym roku 1958, kiedy to sztuka polska znów, jak przed laty, szukała inspiracji, wzorów i mitologii właśnie w Paryżu, kiedy to w Lublinie działała grupa „Zamek", głośno nawołująca do powrotu na drogę nowoczesności. Jeśli Razgour malował pejzaże o intensywnej kolorystyce, wykonywał rysunki węglem (portrety), uprawiał twórczość czytelną znaczeniowo i nastrojową, wystawiając ją w tradycyjnym Salonie Jesiennym — to ostatecznie w opinii lubelskiej liczył się przede wszystkim fakt zamieszkania artysty w Paryżu, który w tym czasie mógł jeszcze pretendować do miana malarskiej stolicy świata (dyskretnie już „podgryzanej" przez dynamiczne i bogatsze Stany Zjednoczone AP). Recenzent wystawy olei, gwaszy i rysunków Razgoura w kazimierskim Domu Architekta stwierdzał ni mniej ni więcej, że autor „to znany niemal na całym świecie malarz, bo obrazy jego zostały zakupione przez... instytucje i osoby prywatne Włoch, Izraela, Francji, Szwecji, Kanady, Argentyny i USA". Tymczasem sam Razgour dopiero w 1965 roku informował znajomych w Polsce, że „Zaczynam być znany, a to ważne..."

Od tego momentu Razgour co roku gościł w Kazimierzu — przez kilka kolejnych sezonów, jeśli nie liczyć 1963 r. Znajdował tam, jak twierdził, wyjątkowe warunki do malowania. „Rzadko gdzie szukać takiego zakątka. Szczególnie ten szary ton o 5-tej nad ranem i po zachodzie słońca. Tylko trochę za dużo drzew". Pejzaże powstałe nad Wisłą — do obejrzenia np. w Muzeum Okręgowym w Lublinie — należą zresztą do najlepszych dzieł w dorobku tego bardzo wydajnego malarza, dysponującego pierwszorzędnym warsztatem i nieco sentymentalną wrażliwością.

Sztukę traktował poważnie: jako obszar samorealizacji, ale i źródło utrzymania. A dochodził do niej drogą tyle wyboistą, co konsekwentną. Po raz pierwszy próbował podjąć studia artystyczne w 1935 roku — bezskutecznie. Po raz drugi wyprawił się w tym celu do Paryża w 1947 (lub 1948) roku, mając już 33 lata! Dyplom Szkoły Sztuk Pięknych otrzymał w wieku niemal 40 lat, a więc wtedy, kiedy rozwijający się normalnym rytmem artyści osiągają pełnię dojrzałości twórczej. Przeszedł ponadto przez pracownie Andre Lotha i Fernanda Legera.

Razgour zmieniał się w swoim malarstwie, ale na pewno nie zmieniał biegu sztuki. Próbując znaleźć eksponowane miejsce w środowisku artystycznym Paryża, nie uprawiał modnych ogródków, nie zgłaszał się do udziału w awangardowych pochodach. Pojmował twórczość jako specyficzny wyraz ludzkiego zadziwienia światem widzialnym, najbardziej może — światem natury, w którym dostrzegał także głębokie źródło refleksji egzystencjalnej. Słowem, stać było Razgoura na samodzielność sądu.

W opublikowanej na łamach „Kultury i Życia" rozmowie z Zygmuntem Mikulskim, który kiedyś żywo interesował się malarstwem, autor uproszczonego w formie, jakby „naiwnego" „Pejzażu z Kazimierza" stwierdził w 1958 roku: „Dla mnie Picasso to przede wszystkim jego okres «niebieski», «różowy» i «Guernica»". A w 1964 roku powiedział poecie i dziennikarzowi: „Właściwie abstrakcja się kończy. Kończy się, ponieważ niczego nowego nie może już powiedzieć. Jej pozorny żywot uwarunkowany jest względami... handlowymi: galerie zawalone są malarstwem abstrakcyjnym, więc na razie nie można dopuścić do dewaluacji posiadanego towaru... Co do mnie, staram się o rozwiązanie w obrębie syntezy między malarstwem abstrakcyjnym a figuratywnym... A nie można odmówić abstrakcjonizmowi pewnych osiągnięć. Tylko — natura jest bogatsza. I prawdziwsza. W niej znajduje się sprawdzian artystycznego rzemiosła, artystycznego podejścia, artystycznego efektu. Dla wszelkiej maści podrzędnych szarlatanów może to być przykre".

Wtedy właśnie w obrazach Razgoura zaczęły pojawiać się postaci ludzkie, w czym można dopatrzyć się pewnego związku z narodzinami neofiguracji w sztuce europejskiej.

Przyjaźnił się Razgour z Wiktorem Ziółkowskim i Konradem Bielskim, pozostawał w koleżeńskich kontaktach z Władysławem Filipiakiem, Zenonem Kononowiczem i Edwardem Nadulskim oraz Tadeuszem Chabrosem. Po otrzymaniu fotografii, na której byli niektórzy z nich, napisał do znajomej w Lublinie: „Chabrosa się widzi, chory człowiek, ale Nadulski i Filipiak dobrze wyglądali, nie jak chorzy ludzie, szkoda, że oni tak szybko poszli od nas, dobrze ich znałem. Mam dużo do pisania o nich..."

Zmarł pół roku po wysłaniu tego listu.

I J K

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● PRZYPOMNIENIA robót gospodarskich. CZERWIEC. Siać rzepak, tatarkę, proso i pszenicę, pleć, łąki kosić, wszelkich rozsad sadzenie ukończyć — kartofle wczesne odradlić, późne obronować, grzyby i jagody zbierać, a pamiętać też o prenumeracie gazet na półrocze. STUDNIE: W wigilię Świętego Jana wrzuca się do studni potężny kawał soli przez co woda staje się czysta i smaczna. W OGRODZIE OWOCOWYM pnie nowo przesadzonych drzew owocowych obwiązywać słomą nie grubo, gracować ulicę, wybielać szkółki i cały ogród. Pnie drzew przewiązać powrozem umaczanym w smole lub lagrze śledziowym, aby robactwo nie właziło na drzewa.

„Kalendarz Lubelski"

PRZED 50 LATY

● MAGISTRAT MIASTA LUBLINA w trosce o estetyczny wygląd ul. Krakowskiego Przedmieścia sprawił kosze, w których nakazał umieszczać przeznaczone do sprzedaży kwiaty. Myśl zastąpienia brudnych płacht i połamanych stołków, które używane były do tego celu dotychczas byłaby może dość szczęśliwa, gdyby kosze te miały nieco estetyczniejszy wygląd.

*

● KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE ozdoba i główna arteria Lublina zamieniła się od wiosny na plażę słoneczną. Na podmurowaniach płotów napisane jest, że nie wolno siadać na murach, a tymczasem najrozmaitsze kalibry potomstwa nie tylko rozsiadają się, spożywając jedzenie, ale w dodatku rozkładają się niczym koty na słońcu i często chrapią. Żeby to było bardzo estetycznie to nie powiemy.

*

● OD PEWNEGO CZASU w szkolnictwie naszym rozważana jest kwestia zniesienia niższych klas szkół średnich. Zniesienie niższych klas szkół średnich ma licznych zwolenników. W praktyce jednak nie wytrzymuje krytyki i próby życiowej. Szkoła powszechna z dotychczasowym swoim programem nie może zastąpić niższych klas szkoły średniej, daje bowiem swoim wychowankom ogólne przygotowanie do życia, stosując metodę poglądową używając jak najmniej podręczników, podczas gdy w szkole średniej stosowana jest raczej metoda pamięciowa, stąd wynika różnica w otrzymywanych rezultatach.

Dwa lata temu odbyły się w Lublinie wiece nauczycielskie domagające się kategorycznie zniesienia niższych klas. Uchwały wieców nie weszły jednak w życie.

Dojść do nich bowiem można drogą spokojnej ewolucji, nie zaś burzliwych eksperymentów. W roku ubiegłym odbyły się specjalne egzaminy dla kończących szkoły powszechne do klasy IV-tej gimnazjów państwowych. Dowiadujemy się, że w roku bieżącym odbędą się egzaminy dla absolwentów szkół powszechnych w gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego.

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● Przy końcu maja obok tradycyjnych „Dni Lublina" w turnieju dzielnic zwyciężyły Tatary, odbyły się w mieście nad Bystrzycą „Dni kultury Jass", podczas których Rumuni pokazali dorobek wydawnictwa książkowego „Junimea', interesujące malarstwo i spektakle teatralne. W grupie gości z zaprzyjaźnionego z Lublinem miasta rumuńskiego znajdowała się delegacja Komitetu Wojewódzkiego RPK z Cristea Ghelaru na czele.

● W tym okresie świętowały swoje „dni' także i inne miasta regionu, np. Biłgoraj i Nałęczów. Szczególnie urozmaicony program przygotowało nasze uzdrowisko, które oprócz wystaw plastycznych, aukcji obrazów, koncertów, spektakli teatralnych urządziło kolejne, ósme, „Nałęczowskie Divertimento", zakończone recitalem pianistycznym Janusza Olejniczaka.

● Siedem tysięcy słuchaczy przybyło na koncert „Gaude Mater Polonia', finalizujący w Kraśniku XI Krajowy Festiwal Pieśni o Ojczyźnie. W kategorii chórów Grand Prix przyznano chórowi Akademii Medycznej w Białymstoku; jedno z wyróżnień otrzymał chór Akademii Rolniczej w Lublinie. W kategorii zespołów wokalnych Grand Prix przypadło „Afonii" z Warszawy. Wśród solistów Grand Prix otrzymała Wanda Hering z Warszawy; nagrodę przyznano Robertowi Raczyńskiemu z Lublina. W grupie zespołów wokalno-instrumentalnych Grand Prix zdobył „To — Tam' z Zabkowic Śląskich; jedno z wyróżnień przypadło młodemu zespołowi „Paradoks" z Kraśnika. Nagrodę dziennikarzy wręczono Chórowi Akademickiemu Uniwersytetu Łódzkiego, a redakcji „Za Wolność i Lud" — zespołowi „Topnar' z Nałęczowa. (O znaczeniu festiwalu i niektórych imprez towarzyszących dla Kraśnika — w następnej „Kamenie".)

● W zakończonych 27 maja IX Lubelskich Spotkaniach Wokalistów Jazzowych wzięło udział 29 solistów z ośmiu krajów Europy i USA. Nagrodę główną imprezy przyznano Stanisławowi Sojce, studentowi katowickiej PWSM.

● 243 uczniów ukończyło zamojską Państwową Szkołę Muzyczną I i II stopnia im. Karola Szymanowskiego w 30-letnim okresie istnienia tej placówki, która swój jubileusz święciła 26 maja, otrzymując sztandar, dyplom honorowy Ministra Kultury i Sztuki oraz 200 tys. zł (na zakup instrumentów) od wojewody zamojskiego.

● Lubelska twórczość literacka w 35-leciu PRL' to temat sesji naukowej, która odbyła się w Lublinie 28 maja materialną ilustrację niektórych swoich wątków znajduje w wystawie książek i materiałów biograficznych ich autorów, urządzonej w Bibliotece Wojewódzkiej im. H. Łopacińskiego pn. „Lubelszczyzna w życiorys wpisana".

● Nagrodę uczestników XVII Kieleckich Spotkań Poetyckich otrzymał Paweł Gembal z Puław. Nasze gratulacje.

● 26 maja w Białej Podlaskiej otwarto wystawę malarstwa Bazylego Albiczuka, twórcy zaliczonego do „naiwnych', choć kreującego bardzo wyrafinowane w nastroju obrazy, przedstawiające m.in. własny ogród artysty, który — wbrew temu, co czyta się czasami w gazetach — nigdy żywiej nie zajmował się rolnictwem, mimo że mieszka na wsi.

● 30 maja zakończył się II Ogólnopolski Plener Twórców Ludowych, który w Jabłoniu pod Parczewem zgromadził 25 rzeźbiarzy z 12 województw. Profesjonalizacja twórczości spontanicznej postępuje naprzód sporymi krokami.

● 23 maja w Chełmie odbyła się premiera średniometrażowego filmu dokumentalnego „Gdzie wszystko nasze się zaczęło", wyreżyserowanego przez Ryszarda Zgóreckiego, a wyprodukowanego przez wytwórnię „Czołówka". Historia i współczesność, ludzie i ich dzieła — oto tematyka tego filmu o Ziemi Chełmskiej.

● Różnorodny i atrakcyjny program miał III Wojewódzki Festyn Robotniczy „Ludziom dobrej roboty", połączony z „Dniami Chełma", który odbywał się od 1 do 3 czerwca. W Muzeum Okręgowym otwarto np. ciekawą wystawę fotograficzną pt. „Samo życie", przy pl. PKWN odsłonięto Wojewódzką Galerię Przodowników Pracy, w szkołach chełmskich odbyły się spotkania z pisarzami regionu w sali WDK — przedstawienia teatralne i koncerty rozrywkowe, na stadionach i nad Jeziorem Białym — zawody sportowe.

● 26 maja w Zamościu oceniono przebieg i rezultaty pleneru rzeźbiarskiego, który w pejzaż miasta wprowadził kolejne dzieła.

POLEMIKI • POLEMIKI • POLEMIKI

Zostałem rozpracowany

Panowie — wy nazywacie siebie architektami?
Pozbądźcie się złudzeń!
(F. L. Wright)

W PRZECIWIEŃSTWIE do Podgórskiego nie *zastanawiam się, czy w ogóle można poważnie rozmawiać z nim* — jestem pewien, że nie można. Identycznie jak nie można poważnie traktować dziecięcego red. Maja spędzającego „Życie na gorąco" w świecie nieprawdziwym, wymyślonym, bajkowym. Bowiem są w nim, świecie, gotowe schematy, recepty, pełno jednowymiarowych ludzików, a barwy są tylko dwie: czarna i biała. Ale oczywiście nic poza tym mego przeciwnika z bajek nie łączy, a wszystko dzieli. Maj to kino, a Podgórski to życie, pierwszy strzela, drugi pisze. Jeden rozpracowuje tajemniczą organizację W., drugi niżej podpisanego.

Pisze otóż jakobym *tendencyjnie zakłamał datę oraz okoliczności konfrontacji*. Niczego nie zakłamałem. Konfrontacja 3 marca 76 miała miejsce. Właśnie w tym dniu. W aktach sądowych jest szczegółowy, urzędowy z niej protokół. Jego treść zasadniczo różni się od tłucznych wcześniejszych zeznań obojga plastyków. Łatwo sprawdzić.

Wyciągnąłem „*z życia prywatnego Zofii K. zarmałe okoliczności, nie mające nic wspólnego z meritum sprawy*". Fakt, wyciągnąłem (nie tylko z życia Zofii K., kilku innych osób też). Ale były to okoliczności mające, i to w sposób istotny, wiele wspólnego z „meritum sprawy": ukazanie genezy „chałturnictwa", a nadto wyblegi, martwe dusze, fałszywe podpisy, fikcyjne dokumenty etc. Zdaje się, iż w takich okolicznościach reporter ma nie tylko prawo, ale i niezbywalny obowiązek drążenia również „prywatności".

Żyjący w bajkowym świecie Podgórski nie chce tego wiedzieć. Nauczył się jeszcze w szkole, w czasach gdy obowiązywały śliczne schematy, że człowiek to jedno, a jego funkcja społeczna to drugie i basta. Na szczęście dziś nikt np. Kapuścińskiemu nie zarzuca, że przez prywatność cesarza i członków jego dworu ośmielił się pokazać Etiopię, a nawet dużo więcej, bo uniwersalne mechanizmy władzy. Nie tylko dziś. Przed półwieczem nie zarzucał tego nikt ani Kischowi, ani Reedowi. Tego, ale nie było wtedy jeszcze na świecie dzielnego redaktora Podgórskiego.

Zarzuca mi Podgórski, że „*znów wiem niezadne informacje*", ponieważ jakoby nie cała prawdą było to, co pisałem, że za ciężkie pieniądze restaurowano „zabytki" pochodzące z 1954 r., zaś ich renowacja, jako nieudanych imitacji, była zupełnie chybiona, niepotrzebna. Zdaniem Podgórskiego to kłamstwo, bo w *niektórych wypadkach* chybiona nie była: „*Na przykład wiadomo dziś, że zostanę zaklejone malowidła Cybisa z 1934 roku na kamienicy nr 18 w Rynku*". I woła w tym miejscu Podgórski tryumfalnie: „*Jak długo będę musiał wytykać Harasimiukowi nieścisłości?*"

Nie będzie musiał wcale. Wytknę mu je sam. Otóż w ogóle nie pisałem o kamienicy nr 18 — wepchnął mi ją na siłę kolega redaktor, sobie właściwą metodą. Pisałem wyłącznie o kamienicach nr 10 i 11. Te i tylko te były przedmiotem sprawy. A więc — przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli. I to jak szpetnie smoli. Ale w bajkowym świecie Podgórskiego wszystko jest możliwe, wszystko dozwolone, byle wyjść na swoje, dopasować „fakty" do tezy.

W bajkowym świecie Podgórskiego, który on tak kocha a ja nie lubię, łaskawca redaktor czuje się upoważniony i (proszę, proszę) „ma prawo" do insynuacji: „*Mam prawo sądzić, że milcząco i pokornie uznał ich słuszność* (zarzutów dotyczących etyki i sumienności dziennikarskiej — SH) *w tym zarzut wprost nie do strawienia dla uczciwego dziennikarza — tendencyjne mijanie się z prawdą*". Jeśli Podgórski w mojej replice doczytał się pokory i zgody na swoje „zarzuty", to ja jestem cnotliwą dziewicą i wieżą Eifla na dodatek, a mój „demaskator" to istota szczytowo rozumna, chluba i ostoja dziennikarstwa etc.

Owszem, jest jaskrawo widoczne „tendencyjne mijanie się z prawdą" w naszym sporze i mam nadzieję, że czytelnik gołym okiem widzi, kto z czym i kiedy się mija. Zwłaszcza ten znający tekst „Nie ma tego złego". Bo go nie ma. Ionesco i Mrożek potwierdzą. (Ale Podgórski oczywiście strawi i to, wszystko strawi, co mu tam.)

Jeśli chodzi o moje miłości, przyparty do muru przez dzielnego rycerza pióra wyznam, że rozumiem i kocham nie tylko siebie, kocham także mnóstwo innych rzeczy i ludzi. W tej liczbie żywsze uczucia zarezerwowane mam i dla Podgórskiego. W ramach opieki nad skrzywdzonymi. Staram się bowiem w wątłych zil rozumieć ludzi przez lot doświadczonych. A wydaje mi się, że rozumieć zaczynam Podgórskiego: zaczęły mu odstawać, nie pasować fakty, nie zgadzać się klocki, z których zbudowany jest świat — tym gorzej dla świata i faktów. Maj w takich razach strzela z biodra lub mości po buziach; mój adwersarz wystrzykuje z długopisu swoje fantazje „między wierszami wyczytane", coraz wyżej i wyżej szybuje wznoszony własną niebotyczną szlachetnością. No bo jak już zaczął walczyć, potykać się z wiatrakami, jak już rozpoczął to swoje polowanie na czarownice — to nie popuści, umarł w butach.

I jak takiego nie kochać? I pana Maja? I pana Sułka (*Kocham pana, panie Sułku*). Chciałoby się pokochać też cały ten fantastyczny świat. Ale jakoś nie mogę. Ułomność serca pewnie, czy co? Jakoś się nie nadaję.

Dlatego oświadczam uroczyście — uczuciami do pięknych ludzi, a w tej liczbie Maja i Podgórskiego, rażony, ustępuję z placu boju. Teraz już raz na zawsze i nieodwołalnie. Nie dlatego, że podobno ustępuje mądrzejszy. Nie wiem, kto nim jest, bom skromnego o sobie zdania. I nie o to chodzi. Po prostu doznałem olśnienia, wiem, że cokolwiek napisze jeszcze Podgórski na mój temat, będzie to Prawda, sama Prawda i tylko Prawda. Jego prawda. Ze świata, w którym żyje, a który — niestety — nie jest moim światem.

Stanisław Harasimiuk

PS. A jednak szkoda, a jednak żal, że Podgórski nie podjął zaproszenia do kawiarni. Naprawdę powiedziałbym mu szczerze jak na spowiedzi, co miałem na myśli pisząc. Nie musiałby się mozolić w detektywistycznym trudzie szukania treści między wierszami: zostałbym rozpracowany natychmiast albo jeszcze szybciej. S.H.

• • •

Kolegę Macieja Podgórskiego namawialiśmy do jeszcze jednej odpowiedzi Stanisławowi Harasimiukowi. Może jednorazowy polemiczny sparring przekształciłby się w trwałą, a jeszcze lepiej: nie kończącą się dyskusję na temat i poza tematem, co ma tak piękną tradycję w polskim czasopiśmiennictwie? Kolega Maciej Podgórski stwierdził jednak, że w poruszonej sprawie postawił ostatnią kropkę, a dyskusja z Harasimiukiem przestała już dotyczyć meritum sporu, stając się zbiorem tego, co zwykło się delikatnie nazywać... wycieczkami osobistymi. Jest faktem bezspornym, że poruszając na łamach „Tygodnika Kulturalnego" sprawę „Zofii K." autor zapomniał o starej zasadzie „audiatur et altera pars". A uczucia, jakie Harasimiuk żywi wobec pana Sułka, zapewne nikogo nie interesują.

(Red.)

akran i widz

Piosenki Sierżanta Pieprza w filmowej dyskotece

NA początku drugiej połowy lat sześćdziesiątych słynna „Czwórka z Liverpoolu" — John Lennon, Paul Mc Cartney, George Harrison i Ringo Starr, eksplodowała kolejnym albumem płytowym, zatytułowanym „Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band" (Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza). „Jest to płyta niezwykle bogata — pisze Marek Garztecki w książce „Rock od Presleya do Santany" — i to nie tylko w swej warstwie muzycznej, lecz także znaczeniowej, nic więc dziwnego, że stała się najczęściej komentowanym i najgruntowniej przeanalizowanym zbiorem nagrań w historii muzyki rozrywkowej.

Baśniowy świat Sierżanta Pieprza rodem z psychodelicznego snu, zaludniony dziwnymi postaciami jakby nieraz żywcem wyjętymi z książeczek Lewisa Carrolla, świat nostalgiczny i wesoły zarazem, sentymentalno-liryczny i przekorny, przepojony pure-nonsensowym humorem, tak charakterystyczny dla prozatorskich i wierszowanych utworów Johna Lennona, płynął na falach niezwykle pomysłowej muzyki, wspierającej się o liczne i nieraz zupełnie zaskakujące efekty elektroniczne. Dodatkowo elementy humoru zawierała w sobie także sama warstwa muzyczna prezentowanych piosenek, będąca przy całej swej porywającej doskonałości — niejednokrotnie pastiszem czy parodią. Tak na przykład melodia piosenki „Within You, Without You" jest między innymi również żartem na temat, jak sobie Europejczycy wyobrażają muzykę hinduską.

W dziesięć lat z górą po wydaniu albumu „Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band" Amerykanie — w koprodukcji z kinematografią RFN — postanowili świat Sierżanta Pieprza przenieść na ekran. Podjął się tego reżyser Michael Schultz, u nas jeszcze nieznany, od niedawna pracujący w Hollywood. Schultz ma na swoim koncie kilka filmów, między innymi wspomniany już przez naszą prasę „Car Wash" (Myjnię samochodową).

Licząc na sukces postanowiono odwołać się z jednej strony do sentymentu pokolenia, które wstępowało w życie na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, a ostatecznie dojrzewało w okresie pojawienia się na rynku płytowym melodii słynnego Sierżanta, z drugiej strony — młodzieży w dzisiejszym wieku dyskotekowym. To właśnie z myślą o niej należało narzucić piosenkom Beatlesów cokolwiek inną poetykę, a samą muzykę podać w nowej aranżacji. Odwoływano się do sentymentu i do... historii (już!), ale miał przecież powstać przede wszystkim kolejny film z gatunku disco. Jak się udała taka operacja?

Strona muzyczna filmu wypadła doskonale. Zasługa to znakomitej aranżacji George Martina, zresztą przecież ścisłego współpracownika Beatlesów, producenta nagrań zespołu, a także aranżera, reżysera i często także współautora, nazywanego nie jeden raz piątym członkiem zespołu. Drugi czołowy atut filmu to zespół „The Bee Gees", śpiewający fenomenalnie. Pamiętajmy, że to oni śpiewają przeboje najsłynniejszego, jak dotąd, filmu disco „Saturday Night Fever" (Gorączka sobotniego wieczoru) z Johnem Travoltą. Wreszcie — cały szereg doskonałych zespołów i gwiazd muzyki pop.

Natomiast o wiele gorzej sprawa się przedstawia, gdy sięgniemy do strony wizualnej, nawet zakładając z góry odpowiednio dużą poprawkę z uwagi na charakter filmu mającego przecież w gruncie rzeczy dokonać przeglądu szeregu atrakcyjnych piosenek.

Wszystkie dotychczasowe filmy o Beatlesach i ich muzyce — z wyjątkiem może tylko średniometrażowego, telewizyjnego, u nas zupełnie nieznanego „Magical Mystery Tour" — były dziełami w pełni udanymi. Pierwszy z nich, nakręcony w 1964 r. przez Richarda Lestera, „A Hard Day's Night" (Wieczór ciężkiego dnia), który u nas wyświetlano pod o wiele bardziej przyciągającym tytułem: „The Beatles", był „zwariowanym" niby-reportażem o występach zespołu i o niewesołych stronach ich ogromnej popularności. Beatlesi, na czele z Ringo Starrem, który już wówczas ujawnił zdolności aktorskie, uciekali bezustannie przed goniącymi ich tłumami rozhisteryzowanych nastolatek. Przypominało to w założeniu trochę wczesne komedie amerykańskie oparte na elemencie ciągłej pogoni. Lester wprowadził szereg trafnych obserwacji psychologicznych i socjologicznych, potrafił też w pełni oddać ów pure-nonsensowy rodzaj humoru Beatlesów, płynący zresztą głównie z osobowości Johna Lennona.

Powstały w rok później „Help!" (Na pomoc!), także reżyserowany przez Lestera, kontynuował ową nić pure-nonsensowego humoru, humoru wyrosłego na czysto angielskim podłożu. Chyba najdoskonalszym filmem okazała się nakręcona w 1968 roku „Yellow Submarine" (Żółta łódź podwodna), pełnometrażowy film animowany, z doskonale utrafioną stroną plastyczną w stylu pop, przekładający na język plastyki istotę ówczesnych dokonań i charakteru muzyki Beatlesów. Animacja okazała się jakby specjalnie stworzona dla bajkowych marzeń chłopców z Liverpoolu, wędrujących przez świat, wśród ścierającego się wciąż dobra i zła.

„Orkiestra Klubu Samotnych Serc Sierżanta Pieprza" stała się niestety, w swej warstwie dramaturgicznej, filmem chybionym. Tu już nie chodzi nawet o prymitywną fabułkę opowiadającą o niezwykłych perypetiach, jakie przydarzyły się w dwadzieścia lat po śmierci zacnego Sierżanta jego wnukowi, leaderowi muzycznego zespołu oraz jego ukochanej, Truskaweczce. Nie chodzi o banalne rozwiązanie inscenizacji i grę aktorów drugiego planu na żenująco niskim poziomie. Nie chodzi o nie zawsze najbardziej udaną, choć momentami zaskakująco doskonałą scenografię. Rzecz w tym, że mimo widocznego założenia, nie zdołano tutaj oddać ani filozofii, ani sposobu widzenia świata twórców piosenek, które grał i śpiewał kiedyś przed dwunastu laty, na gruncie „starej, wesołej Anglii" wstrząsanej kolejnymi ciosami płynącej zza oceanu pop-kultury, zespół Sierżanta Pieprza. Wyszło tak: słowa sobie, muzyka sobie, a angielskiego humoru — w amerykańskim wydaniu nie stało. Siedzimy nie w kinie tylko w dyskotece. I najlepiej, jeżeli będziemy siedzieli z zamkniętymi oczyma, otwierając je tylko od czasu do czasu.

M. D.

POCZTA literacka

B. T. LUBLIN. Bardzo mi się podobały te wiersze. Są tak paseistyczne, że aż nowatorskie. Potrzeba dużo pewności siebie by tak zdecydowanie odejść od współczesnej praktyki poetyckiej, by tak „po swojemu" napisać wiersz. Szczególnie uderzyło mnie powiedzenie o fiołkach, które „fiołkowo się rzuciły w zielony zakątek". Może tylko proponowałbym zrezygnować z opisu nastrojów tylko własnych, tylko osobistych autorki, na czym zyskałaby obiektywizacja wiersza. Chociaż... Czy mam pewność że w tej chwili nie zachowuję się jak stary tetryk? W tym sęk, że dobra rada jest dobrą radą, a udany zwrot poetycki zawsze ją udaremni.

ANDRZEJ D. Opowiadanie jest zręcznie napisane, ale czytałem je jak oglądałem serial „Życie na gorąco". Kto? dokąd? po co? W związku z czym? Tych kwestii na filmie nigdy nie mogłem rozwiązać. To samo w Pana tekście. Nie wiem, czy jesteśmy odpowiednim adresem dla Pana propozycji. Może telewizja? Zresztą nie tylko z tego powodu zgłaszamy desinteressement. Poza gierką wypadków nie ma tu żadnej próby postawienia problemu, żadnego otwarcia ku jakiejś perspektywie filozoficznej. Po co napisane? — oto pytanie, które postawiłaby sobie większość czytelników.

J. D. LUBLIN. Proponuję, żeby Pan przeczytał swoje opowiadanie i przynajmniej usunął zeń anakoluty, to znaczy zbitki słów, z których nie da się wyciągnąć żadnych myśli. Już nie mówię o tzw. wymowie. Tę na razie moglibyśmy sobie darować.

S. P. KOŃSKOWOLA. Niewiele mógłbym powiedzieć na podstawie otrzymanego materiału. Jest go objętościowo mało, poza tym nie sprawia takiego wrażenia, jakiego należałoby się spodziewać od tekstu literackiego. Na upartego można by coś w tym wykomentować, ale takim sposobem „uratowany" utwór sam powinien się zdyskwalifikować.

R. T. RADOM. Odpowiem przykładowo: skonstruował Pan narzędzie dobrze leżące w dłoni i działające sprawnie, ale nie bardzo wiadomo do czego służące. Sprawność formalna — znaczna, funkcjonalność myślowa — nieokreślona. W każdym razie znaczna część pracy ma Pan już za sobą. Do tego co jest wystarczy dodać „tylko" myśl przewodnią. I kto wie, czy nie jest to łatwiejsze do zadania odwrotnego. Umiejętność podpatrywania życia i znajdowania trafnych określeń to umiejętność dziś raczej rzadka. Wszystko zwala się na „psychologię", „monolog wewnętrzny" itp.

A. G. PIOTRKÓW. Gdybyż tylko nie tyle w tym publicystyki. W wierszu treść ideową, światopoglądową, humanistyczną należy przełożyć na kategorie estetyczne. Na tym polega istota poezji. Nie chcę przez to powiedzieć, że publicystyka może obejść się bez formalnych zalet słowa, ale wiersz specjalnie musi być sprawny we wchodzeniu we wrażliwość „nieoficjalnie", „prywatnie", „nie od frontu". Inaczej — płoszy odbiorcę od razu uderzając w głośny ton.

S. M. KURÓW. Podoba mi się to pomieszanie groteski z liryką, czego jakże udane przykłady widzieliśmy u wielu poprzednich mistrzów, a dziś może u jednego Brylla, no, Szymborskiej. Tylko u Pana między tymi dwiema dziedzinami nie ma równowagi. Satyryk w Panu zwycięża liryka i w ten sposób dochodzi do osłabienia napięcia satyrycznego, poetyckość na tym nie zyskuje. Może całkowicie przerzucić się na żart? Wydaje się, że do tego ma Pan większe dyspozycje.

A. P. LUBLIN. Felietony są za bardzo „rozlazłe". To ma być słowo zwarte, krótkie, aforystyczne! Bawić nudząc? Uczyć nudząc — to połowa biedy. Pierwsze jest niedorzecznością.

Z. G. WARSZAWA. Wolę pańską prozę. Co do wierszy — nie jestem przekonany, że wynikają z impulsów czysto lirycznych. Aczkolwiek teraz czystość gatunków, a więc i jednorodność postaw nie jest czymś obowiązującym, to jednak chciałbym dokładnie wiedzieć co czytam. Te wiersze dałoby się przedstawić jako opowiadania, na czym by nawet zyskały. Ale nie chcę wytrącać z ręki poetyckiego pióra. Raczej życzę powodzenia również i na tym polu.

Z. N. TOMASZÓW LUBELSKI. Jesteśmy w redakcji przygotowani na to, że z przybyciem wiosny (szczególnie po takiej zimie) pęka bania z poezją na temat kwiatków, listków i krzaczków. Nie zrobiła nam Pani niespodzianki. Ale nie możemy powiedzieć, że zawód. Jest to nawet zręcznie i wdzięcznie napisane. Gdybyż tak w czasopismach istniały kąciki „poezji prywatnych". Ale nie ma ich, a my nie możemy czynić wyłomu w czasopiśmiennictwie.

M. S. OLEŚNICA, P. D. WITOWICE, Z. H. BĘDZIN, R. K. — EŁK, E. G. STARACHOWICE, H. G. POZNAŃ, J. M. M. — WROCŁAW — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 12)

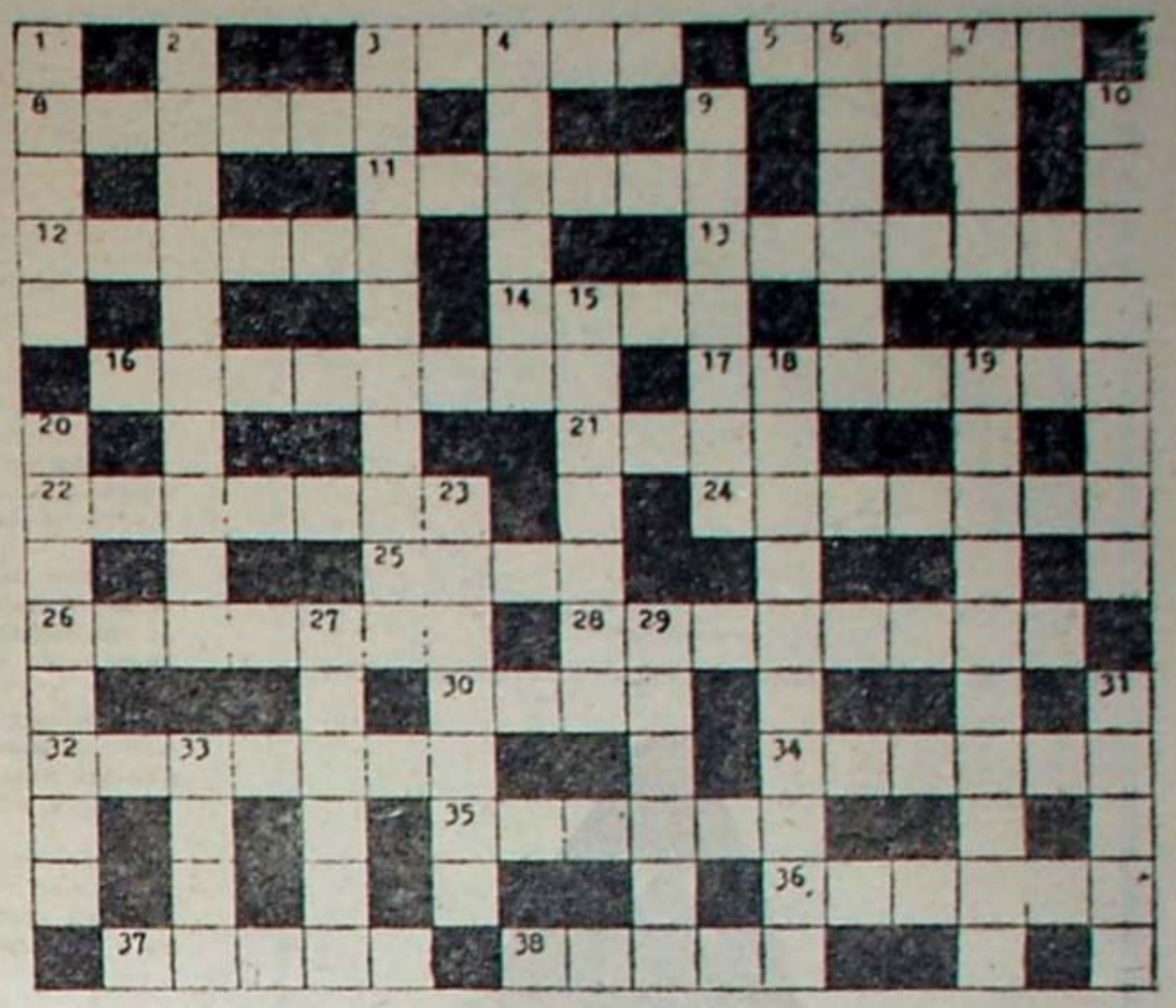

Poziomo: 3. podobny do motorowca, 5. balagan, bezład, 8. główna część białej broni, 11. spoiwo budowlane, 12. roślina oleista, 13. doradca Priama z Iliady, 14. kolor w kartach, 16. miasto na trasie Warszawa — Olsztyn i Warszawa — Gdańsk, 17. wieś w okolicach Hrubieszowa eksplorowana przez archeologów jako dawny Czerwień, 21. jezioro łączące się rzeką Św. Wawrzyńca z Atlantykiem, 22. owalne wzgórze polodowcowe, 24. poczucie godności własnej, 25. pomieszczenie więzienne, 26. rodzina aktorska, z której pochodziła Ćwiklińska, 28. mebel pasujący do kąta pokoju, 30. marka samochodu, 32. niedawno zmarły poeta — satyryk, 34. specjalista, ekspert, 35. zastępują malowanie ścian, 36. odbiór bodźców przez receptory, 37. powieść Elizy Orzeszkowej, 38. pierwszy rektor UMCS.

Pionowo: 1. polska komedia filmowa z lat czterdziestych, 2. piśmiennictwo, 3. pisarz i publicysta znany jako Cat, 4. szkliwo wulkaniczne pomagające w myciu, 6. żelazne ciężarki gimnastyczne, 7. wielki port Algerii, 9. rundy bokserskie, 10. legendarny wódz rzymski, tytułowy bohater uwertury Beethovena, 15. japoński sposób układania kwiatów, 18. podlubelskim zalewem słynne, 19. wieszcz narodowy, 20. zgodne z prawem zabicie niektórych zwierząt łownych, 23. nowo pozyskany wyznawca jakiejś idei lub religii, 27. najwyższy punkt, 29. siłacz, 31. uczeń szkoły wojskowej dla małoletnich, 33. słowiańska bogini odpowiadająca Venus.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 10

Poziomo: Szymborska, lustro, Lenartowicz, Krosno, święto, Orkan, koniki, sag, ozdoba, werk, Rusk, Poznań, ido, kolold, tracz, trener, Dekert, Łukasiewicz, Figaro, graciarnia.

Pionowo: blok, Oslo, tren, Zieliński, Bartok, Sewer, Szenwald, runo, Sari, oścień, oczko, Kioto, kapitula, kwacz, Grodnicki, oskard, laik, Igor, strefa, chata, Emil, etap, tron.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 10 bony książkowe po 40 zł. każdy wylosowali: Zofia Tchórzewska 20-217 Lublin, Krystyna Dumowa 24-100 Puławy, Dwudziestolecia PRL 24 m. 1, Adam Małodobry 22-400 Zamość, Robotnicza 4, Eugeniusz Tokarczyk 22-500 Hrubieszów Polna 15/38.

Listy do kameny

DROGA PO SŁOŃCE

Urządzono w Zemborzycach piękny i duży zalew, odwiedzany przez tysiące lublinian. W mieście nie ma basenów kąpielowych z prawdziwego zdarzenia, więc ludzie ciągną na zieloną trawkę w liczbie przewyższającej najśmielsze marzenia budowniczych zalewu. Drogi dojazdowe do tego obiektu są niezle, ale komuś tam zabrakło konsekwencji i może wyobraźni, więc w rezultacie krótki odcinek, w okolicach mostu od strony osiedla Nałkowskich, jest prawdziwą wykańczalnią dla pojazdów. Wyłożony płytami, którymi pokrywa się prowizoryczne drogi na budowach, oferuje kierowcom coś w rodzaju toru przeszkód z wystającymi prętami zbrojeniowymi, zahaczającymi o podwozia samochodów. Czy doprawdy nie można uporządkować nawierzchni tego krótkiego odcinka drogi? Zalew pochłonął miliony złotych, więc chyba stać nas na kilkudziesięciotysięczny wydatek na ten cel komunikacyjny. Warto też pomyśleć o nowej nawierzchni na ulicy Janowskiej prowadzącej z miasta nad zalew, a będącej przedłużeniem ul. Nadbystrzyckiej. Lada miesiąc, po oddaniu nowych połączeń odchodzących od ul. Zana, droga ta będzie najkrótszą trasą nad zalew, tymczasem obecnie znajduje się w fatalnym stanie.

Przy okazji chciałbym też zapytać, kto „wyrównał" drogę leśną, którą za Niemcami można było wjeżdżać do lasu? Po tym zabiegu nie jest to droga, lecz szlak slalomowy, wyznaczony na płaskim terenie przez kupy piachu, żwiru i trawy. Po 100 metrach jazdy po czymś takim każdy samochód przybiera kolor szaro-czarny. A warto przy tym wiedzieć, że jest to jedna z nielicznych dróg na Lubelszczyźnie, którą można legalnie wjechać do lasu.

Andrzej Stokłosa
Lublin

DOBRY OBYCZAJ

Będąc niedawno w Zamościu zauważyłem kilka kamiennych rzeźb, stojących na skwerach miasta. Przyglądając się tym abstrakcyjnym formom zauważyłem na cokołach metalowe tabliczki z tytułem pracy, nazwiskiem autora i nazwą fundatora. Dzięki temu dowiedziałem się, że jedną z nich wykonał Stanisław Strzyżyński korzystający ze środków Urzędu Miejskiego w Zamościu. Uważam, że obyczaj sygnowania rzeźb w podany wyżej sposób należałoby rozpowszechnić — bo to i satysfakcja dla twórców i zainteresowanych instytucji, a zarazem informacja, która powinna wzbudzić uwagę publiczności. Takie wizytówki spełniałyby jeszcze jedną funkcję: obwieszczałyby wszem i wobec, kto jest dobrym, a kto kiepskim twórcą.

Maria Kozicka
Warszawa

SPORT?

O „zapleczu" naszego sportu pisze się ostatnio dość często i ostro. Stwierdza się zatem, że zażywanie środków dopingujących i inne zabiegi wzmacniające zawodników przed startem to zjawisko wcale u nas nie egzotyczne. Ja chciałbym podzielić się z redakcją skromniejszą obserwacją. Wchodzę niedawno do szatni III-ligowej drużyny piłkarskiej i widzę ośmiu zawodników, którzy przyszli na trening. Czterech z nich jest już „pod gazem", następna czwórka zaczyna „nadrabiać zaległości", a w środku towarzystwa siedzi pan trener, który też za kołnierz nie wylewa. Mówię więc: — Panowie, co robicie, trening przecież was czeka! A trener na to: — Co tam trening, przecież oni i tak daleko w lidze nie zajdą.

Podziękowałem za szczerość i poszedłem do domu myśląc, że może przydałoby się u nas więcej takich decyzji, jaką podjął niedawno dyrektor dużego zakładu przemysłowego, który zwolnił z pracy całą drużynę piłkarską pośledniejszej klasy, jako że „gwiazdom" nie chciało się normalnie pracować.

Janusz Siciński
Lublin

ZA CO PREMIA?

Jeden z budynków Politechniki Lubelskiej przy ul. Nadbystrzyckiej stał się powodem obdarzenia sympatyczną premią jego wykonawców. Tymczasem niedługo potem coś się zaczęło w nim sypać, coś przemakać i do dzisiaj obiekt jest niesforny. Może kpi z zasad, na jakich przyznaje się takie premie?

Zygmunt Kiełczewski
Lublin

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:
— do 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do 10 marca na II kwartał roku bieżącego,
— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 23 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamała: Teresa Furman, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Nr indeksu 36251

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1979/12

NOS

Rys. Zb. Cieniuch

Stanisław Pawelec

DOLEGLIWOŚĆ

Szlachetne zdrowie... Długo nie powiesz,
co ci doskwiera. Naraz, cholera,
swędzić zaczyna na biednej głowie
i odruchowo we włosach gmerasz.

Najpierw nieznacznie — ot, mimo woli
w myśli natłoku — i nie wiesz wcale,
że coś się zacznie, chociaż nie boli,
chociaż się czujesz jak w karnawale.

Jednak to ryje, chociaż się myjesz,
kąpiesz, masujesz i zmieniasz mydło;
chociaż uczciwie z godnością tyjesz,
wiesz, co wypada, a co ci zbrzydło.

Godność zwyżkuje, a włos ci rzednie,
już mniej szarżujesz i rzadziej łupiesz,
mgiełka zasnuwa oczy bezwiednie —
no i ten łupież, cholerny łupież!

Rys. K. Borowski

Stanisław Turczyn

O PSIE

Kiedyś założył psu obrożę,
nie mów, że bez niej żyć nie może.

* * *

Pies tylko w słusznej sprawie szczeka,
tym nad człowiekiem właśnie góruje,
toteż odmiennie od człowieka
nigdy swych szczekań nie odszczekuje.

* * *

Szczeka na kawałek gnata,
toteż w służbie tej nie utył,
i ze wszystkich stworzeń świata
on najbardziej jest zaszczuty.

* * *

By podnieść efekt psiego szczekania,
dał pan psu większą swobodę ruchów,
czyli od zmierzchu aż do świtania
wiązał pan psa na dłuższym łańcuchu.

Marian Karczmarczyk

DROBNYM ŚRUTEM

— Przeciw panu mówią fakty — oznajmił.
— Nie udzieliłem im głosu! — krzyczał w przypływie furii.

☆

Nie odchodź od siebie, jeśli potrzebujesz swojej pomocy.

☆

Zbankrutował: żył na kredyt, którego mu nie udzielono.

☆

Niektórych zadowala czyjeś niezadowolenie.

☆

Nie lubi się powtarzać. Bo nie wie, co wcześniej powiedział.

☆

Jego piękna mowa spotkała się z aplauzem publiczności. Ale wyrzucono go ze sceny, bo... miał grać niemą rolę.

☆

Niejeden Noe utonął dlatego, bo nie doczekał się potopu.

Józef Witkowski

MYŚLI

☆

Najczęściej traci się przyjaciela, który awansował.

☆

Milczenie jest mową. A bełkot?

☆

Niejeden smyk pragnie grać pierwsze skrzypce.

☆

Najwyraźniej akcentuje się kropkę nad „i".

☆

Brudne myśli pierzcie sobie sami, aby inni was nie spalili.

☆

Mający dobre chody stoi w miejscu, a nawet niejeden cofa się.

☆

Niektórzy udają tchórzy — dla zmylenia przeciwnika.

SKĄD MY ICH ZNAMY?

Andrzej May jako Stanisław Polaniecki

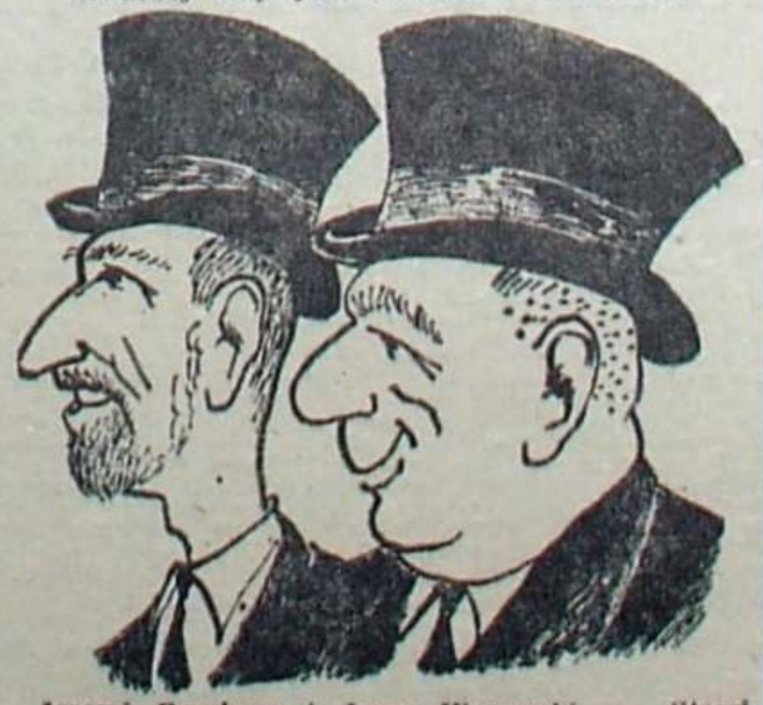

Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski — „Starsi Panowie". Rys. Jacek Frankowski

FRASZKI

Aleksander Jerzy Gauda

WSPOMNIENIE Z WCZASÓW ZIMOWYCH

Z gór pamięta —
Rysy urocze pagórki
I że była namiętna...

ŚWIĄTECZNA REFLEKSJA

Inne tylko w Wigilię
Mogą wypowiadać swe zwierzenia.
Świnie i barany
Przez cały rok mają coś do powiedzenia

FAKTY (ZŁOŚLIWE)

Im bardziej w naszym Grodzie ciasno
Tym więcej wątpliwości,
Że Lublin to miasto.

NIBY SZTAUDYNGER

Czy ja zcudzołożę,
Gdy ją na podłogę położę?

Zbigniew Uchnast

POD WOZEM

Czasem być pod wozem
bywa mile bardzo,
jeśli wozem owym
jest co najmniej wartburg.

ŻYCZENIE

— Bodajbyś uczył dzieci cudze —
jest to życzenie ponoć straszne.
Ale najgorsze ja wam zdradzę:
— bodajbyś uczył dzieci własne.

MAKSYMA

Tak to już bywa, trudna rada
(zmienić maksymy nic nie zdoła)
Jeśli ktoś szkoły nie posiada,
dostaje w życiu dobrą szkołę.

Józef Bułatowicz

PARADOKS

I próżnia od próżni
czasami się różni